



## PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem w Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

*Piotr Głmielowski.*

### Nasza krytyka literacka

W WIEKU XIX-ym.

V.

Brodziński. Grzymała Dmochowski.

Wielkie utwory poetyckie stają się zazwyczaj powodem wypowiedzania nowych poglądów krytycznych. I u nas poezye Mickiewicza wywołały ten skutek, ale nie od razu i w niezbyt wielkiej obfitości. Zawzięci zwolennicy poetyki francuskiej patrzyli na świeżą twórczość lekceważąco, wypowiadali swe zdania tylko poufnie w rozmowach lub listach, umiarkowani z początku po ukazaniu się pierwszego tomiku poezyj Mickiewicza w r. 1822 milczeli z porady ostrożności, a krytyków śmiałych, w nowym duchu myślących, nie było zgoła.

Rzeczą wielce zastanawiającą jest, że Brodziński, który w r. 1822 i 1823 był jednym z redaktorów „Pamiętnika Warszawskiego,” ani jednym słówkiem nie odezwał się w tem piśmie literacko-naukowym o świeżej przedzy natchnienia poetyckiego, wysnutej na Litwie. Niemożna go usprawiedliwiać tem, że zostawszy wówczas profesorem historii literatury polskiej w uniwersytecie warszawskim, pochłonięty był pracą obowiązkową i na postronne zajęcia nie miał czasu. Toć przecie umieszczał on w „Pamiętniku” inne swoje artykuły, chociaż istotnie w niezbyt wielkiej ilości. Ważniejszym powodem milczenia mogło być, iż Brodzińskiemu podobało się wpra-

wdzie wiele w poezjach Mickiewicza, lecz widział w nich też dużo takich czynników, co według jego przekonania musiały uchodzić za wady; ceniąc talent młodego poety, nie chciał może mu szkodzić wytykaniem usterek. Właśnie na początku r. 1822, kiedy w Wilnie zaczął się dopiero drukować pierwszy tomik Mickiewicza, Brodziński pomieścił w „Pamiętniku” dwa listy o literaturze, zajmujące się roztrząsaniem pytania, co jest romantyzm a co klasycyzm. Zgodnie ze swoim usposobieniem i przekonaniem, zganił on tu zbyt ściśle trzymanie się poetyki francuskiej, ale równocześnie oświadczył, że rozpatrzywszy się w utworach romantyki średniowiecznej, nie znalazł, „coby dla nas Polaków powabnym i wzorowym być mogło,” gdyż odraża w nich „galanterya rycerska, miłość i jedynie miłość opiewana, nie domy i stosunki rodzinne, ale dworskość, mało wyższych pojęć moralności, okropny wreszcie feudalizm, powierzchowna pobożność i szkodliwsze niż Greków zaborony.” Odrzucił więc trubadurów i minnezengerów, a szukał poetów chrześcijańskich, którzyby podobnie jak Homer z drobnych pieśni wśród ludu rozpowszechnionych zdołali ułożyć poemata, mogące się mierzyć z utworami Greków i Rzymian. Szukał i znalazł Dantego, Petrarke, Tassa, Miliona, Klopstocka, Szekspira, Ossyana. „Wszędzie—powiada— znalazłem dotąd mi nieznaną naturę, moc i świeżość; napojony trwożliwością francuskich autorów i surowością przepisów, żałowałem występów moich nowych towarzyszy; ale co mię jako znawcę raziło, to jako do człowieka mówiło do mnie silnie i tkliwie. Jakże, mówiłem, ci ludzie byliby wielcy, gdyby im oświecenie nie było światła krytyków zarzało? Ach! (wspomniałem sobie) czemużby był Achilles, gdyby go nowy, *mmiemany* klasyczny poeta z sentencyami o honorze i z dworską etykietą wystawił... Tak nowe zrobiwszy odkrycie,

pomyślałem o szafce moich klasyków, a zachowując starożytnym *ich dawne pierwsze miejsce*, moich Anglików, Włochów i Niemców pomieszałem z klasykami Francuzów, którym ta liberalność naszego wieku bardzo się zdała przystojną. Odtąd nazwałem sobie klasykami tych, co mię zajmowali, a odmówiłem tego zaszczytu tym, którzy tylko na formalnościach do niego swe prawa opierają. Co mi inny w smaku uchybił, to mi Francuz nagroził; co Francuzowi zbywało na sercu i prawdzie, tom znalazł w pełni w moich adoptowanych klasykach, i byłem spokojny o mój dawny jakikolwiek smak i rozsądek.”

Brodziński przechylał się bardziej na stronę serca i natchnienia, niż na stronę reguł i przepisów; ale nie widział niepodobieństwa, iżby do wyrażenia nowych pomysłów nie można było użyć „starożytnych i wiekami zatwierdzonych prawideł, albo im właściwych tajemnic sztuki.” Przytem, pamiętny swego hasła: „nie bądźmy echem cudzoziemców,” pragnął widzieć w poezji naszej pierwiastki swojskie, bo „jakim jest wiek i naród, takim i poezya.” Nie mógł więc być zwolennikiem ani pseudoklasycyzmu, ani romantyzmu, chociaż radził korzystać z jednego i drugiego, byleby wszędzie w twórczości jaśniała cecha narodowa. „Jak Niemcy i Anglicy—powiada—zawiedli się, chcąc naśladować gust, lekkość i elegancję Francuzów, tak Francuzi staną się niewłaściwymi naśladowcami, jeżeli nie Raszyn i Molier, ale Szekspir i Byron będzie ich ubóstwieniem. Tak bałbym się o los poezyi naszej, gdybyśmy dotąd za Francuzami postępując, mieli znowu do nowej szkoły dopiero za nimi zboczyć. *Gust i obyczaje średnich wieków w krajach południowych więcej nam są obce, niżeli dawni Rzymianie i Grecy.* Dla tego, ażebyśmy z obudwu stron naśladownictwem zagrożeni nie byli, czy nie lepiejby było, tak jak się germańskie narody do dawnych swoich wieków wróciły, szukać nam *źródła w dziejach niezliczonych plemion słowiańskich?*”

odrębne, ich język w ozdoby starożytnym, ich wieki obne do wieków bohaterskich to jest źródłem prawdziwej poezji, marzenie i niejaki przerwany, którego skutku nie wiem. Cóżkolwiek bądź, jest mi, iż aby być poetą, nietylko trzeba być krytyką, ale zgłębić charakter narodu i człowieka. Że te spory na tę drogę naprowadzić winny, że porównywanie literatury do smaku do naszego własnego nas wrócić. Nie porzucimy Jowisza i Amorka, abysmy się upiórów i czarownic chwycili, abysmy nieszczęśliwy feudalizm opiewali, ale daj Boże, abysmy przez zgłębienie dziejów naszych i poznanie istoty poezji do dawnej, Grekom podobnej prostoty i smaku wrócili.

Takiemu usposobieniu i takim przekonaniom mogły przypaść do smaku „Warcaby“, „Grażyna“, „Pierwiosnek“, „Dudarz“, „Świtezianka“ i tym podobne utwory, oparte na rozsądku, albo wysnute z dziejów i podań narodowych; ale wstręt do upiórów i czarownic musiał Brodzińskiemu przesłać oczy na piękności „Dziadów“ i innych poezji, gdzie fantazyja gorąca i namiętna maćła spokój i prostotę, ulubione śpiewakowi „Wiesława“.

Nie odzywał się więc Brodziński o pierwszych poezjach Mickiewicza. Wychodziła wtedy w Warszawie „Gazeta literacka“, wyłącznie tylko krytyce poświęcona, zaznaniająca także nasze społeczeństwo z obcymi literaturami; ale i w niej zaznaczono tylko wyjście dwu tomików wileńskich, rozbioru ich atoli nie podawano póty, aż Gazeta wychodzić przestała.

Wziął to Gazecie za złe znawca literatury niemieckiej, wielbiciel Schillera, lecz jako nauczyciel przyzwyczajony do poprawiania ćwiczeń, czuł na uchybienia gramatyczne, *Franciszek Grzymała* († 1871), wydawca czasopisma p. t. „Astrea“, bardzo nieregularnie wychodzącego w Warszawie od r. 1821. W trzecim jego tomie r. 1823, podając wyjątki z owych dwu tomików, poprzedził je króciutkim wstępem, gdzie przede wszystkim też uskarżał się na brak czujności krytycznej u nas. „Podobne rzadkie zjawisko (jak poezje Mickiewicza) — pisał — w literaturze niemieckiej lub francuzkiej ściągnęłyby liczne rozbiory i recenzje; lecz nasze pisma krytyczno-literackie, obznajmiając nas z dziełami hiszpańskimi, szwedzkimi, duńskimi i t. d., nie przeczytały za obowiązek zwracać uwagi na wiele dzieł narodowych, a między innymi nie wyrzekły o pismach Mickiewicza.“ W rozbiore podobek tego postępowania, okazuje, że poezje Mickiewicza, jako pisane otwarcie w duchu „okrzychanego“ romantyzmu, na lekceważenie bynajmniej nie zasługują; więc „albo gorliwi stróże smaku, kształconego na wzorach klasyczo-francuzkich powinni mu (t. j. Mickiewiczowi) wydać otwartą wojnę i w samym zarodzie stłumić niebezpieczną zarazę; albo umiarkowani, szukający jakiejś średniej drogi, pragnący pojednania stronniectw rozjątrzonych, powinni bezstronnie ocenić wartość pism jego, w rzetelnym świetle wystawiając zalety i wady.“ Sam Grzymała jednak odłożył na czas dalszy obszerniejsze wyłomaczenie się z myśli swoich w tej mierze, krótko tylko zaznaczył, że uważając pisma młodego poety „pod względem języka i wersyfikacji, możnaby w niektórych miejscach znaleźć wady, przeciwne prawidłom nauki językowej, można dostrzedz niekiedy zaniedbania sprzecznego z dzisiejszą wytworną dykcją rymotwórczą, zarzucićby mu także należało, że nie zawsze jest panem bujnej swojej imaginacji, i że wreszcie, starając się ciągle o prostotę i naiwność, może być w kilku miejscach obwiniony o *niejaką gminność* w wyrażeniach.“ Wytknąwszy te usterki, Grzymała powodowany „ścisłą bezstronnością i sprawiedliwością“, uznaje, że natura obdarzyła Mickiewicza „wszystkimi przymiotami, które są poecie niezbędnie potrzebne, to jest: mocną, żywą i obfitą imaginacją, jest czułym, tkliwym, i tę czułość i tkliwość we wszystkich utworach swoich stara się rozlewać; najczęściej

przebija się łatwość, zręczność i rozmaitość w wyrażaniu myśli i uczuć.“ Sąd swój Grzymała streścił krótko, mówiąc: „Słowem, o ile p. Mickiewicza nie można podawać *bezwzględnie* za wzór do naśladowania młodzieży, rozpoczynającej zawód poetyczny, o tyle odmówić mu nie mogą najdojrzalsze umysły *prawdziwego talentu*: i jeżeli jako prawdziwy talent dalekim zostanie zawsze od zarozumiałości; jeżeli w trudnym zawodzie dążyć stale będzie do ostatecznego wydoskonalenia, Polska ujrzy w nim wkrótce *prawdziwego i oryginalnego poeę*, czego jej właśnie w tych czasach potrzeba.“

Było to, jak widzimy, zdanie oględne, lecz wypowiedziane z przekonaniem; Grzymała nie był wielbicielem zapalonym Mickiewicza, lecz przyznawał mu talent prawdziwy i rokował świetną przyszłość.

Zapał uwielbienia spotykamy w druku dopiero w r. 1824 i to po niemiecku. We Lwowie dr. Aleksander Zawadzki wydawał czasopismo „Mnemosyne“, pomieścił w niem Franciszek Pol przekład „Świtezianki“, do tego przekładu dodano następną wzmiankę o jej twórcy: „Adama Mickiewicza jednogłośnie uznają teraz za jednego z najznakomitszych poetów Polski. W czarownym ogrodzie poezji chowa on niezbyt bujne, ale za to tem wyborniejsze kwiecie. W dziełach jego, co do objętości małych, co do treści nieskończenie bogatych, odzwierciadła się naiwność i wdzięk powabny, połączony z siłą i mocą w sposób zadziwiający. Mistrz w języku i stylu, daje on zwykłemu czytelnikowi zajmującą, romantyczną lekturę, myślącemu zaś — głębokie i bystre prawdy. Tak, ballady jego są dla bezpretensjonalności dziecinnej i pięknego, romantycznego kolorytu, który je zdobi, arcydziełem liryki. W powieści „Grażyna“ kreśli on obraz starego ryceństwa, — stary wajdelota zdaje się śpiewać przed nami. To samo trzeba też powiedzieć o „Dziadach“, dziele co do oryginalności myśli i głębokości uczucia znakomitem, przez które autor wywiera już i wywierać będzie wielki wpływ na literaturę polską. Już też wyżej przywiedzione utwory tego polskiego Scotta wystarczą, by potwierdzić sąd nasz w zupełności.“ (Wilhelm Bruchnalski: „Pierwsze utwory Mickiewicza, naśladowane w literaturze galicyjskiej 1822—1830“, Lwów, 1894).

W uwielbieniu tem mało autor zajmował się jego uzasadnieniem. Znalazła się próba takiego uzasadnienia w rozprawie *Franciszka Salezego Dmochowskiego* (1801, † 1870), redaktora i wydawcy „Biblioteki Polskiej“, ogłoszonej w Warszawie z początkiem r. 1825. Dmochowski, syn tłumacza Iliady i autora „Sztuki rymotwórczej“, sam wprawdzie długo studyował i przekładał tylko autorów francuzkich, ale uczęszczając na wykłady Brodzińskiego w uniwersytecie warszawskim, stał się zwolennikiem jego poglądów, usiłował odczuwać poetów, przenosić się na ich punkt widzenia i uznał to nawet za główne prawidło krytyki estetycznej, mówiąc: „Kto chce sprawiedliwie ocenić autora, ten *nie powinien*; trzeba postawić się w jego miejscu, wyrozumieć jaki miał cel, i wybać, czyli go osiągnął. Jeżeli tego dokazał, jeżeli zajął wyobraźnię i serce wruszył, nie pytajmy go się, dla czego tą a nie inną poszedł drogą... To jest cechą prawdziwego talentu i gieniuszu, że nie chce iść drogą naśladowania, że sam dla siebie tworzy nowy rodzaj, a z dzieł jego krytycy i naśladowcy wyprowadzają nowe prawidła.“ Dmochowski bardzo trafnie i podobno pierwszy raz u nas zwrócił uwagę na analogie postępowania romantyków z pojęciami ludowami o duchach, a postępowaniem poetów greckich, co tak samo posługiwali się wyobrażeniami mitologicznymi swojego narodu i wyprowadził ztąd wniosek, że jeżeli jednym poczytuje się to za zaletę, to nie można jej odmawiać i drugim. Uznawał on zupełną słusność hasła: *Miej serce i patrzaj w serce* i bardzo dobrze dopatrywał we wrodzonym usposobieniu duszy ludzkiej źródło upodobania w świecie rojeń fantastycznych.

Pomimo to jednak tkwiło w Dmochowskim dużo jeszcze pierwiastku krytyki formalistycznej, a brakło mu bystrości zmysłu estetycznego.

W ocenie pierwszych poezji Mickiewicza ustrzegło go od popełnienia błędu powszechne uwielbienie młodzieży, ale gdy mu przyszło następnie w r. 1826 wydać samoistny sąd o „Maryi“ Malczewskiego, potknął się okropnie, nie potrafił ani uchwylić wątku całości, ani też odczuć piękna obrazów; ukazał się tylko jako stylist i wersyfikator, podkreślając błędy wyrażenia i wiersza. Podobnie stało się w r. 1827 z krytyką „Sonetów“ Mickiewicza. Zanim jednak przejdę do kwestyi „Sonetów“, zaznaczyć winienem pierwsze kroki pierwszego krytyka romantycznego.

(Dalszy ciąg nastąpi)

## PRZY KOMINKU.

(POGAWĘDKA).

Czas już, czas wielki, opuścić miejsce przy kominku, a przenieść się na werendę oświeconą snopami wiosennego słońca, i jego promieniami ogrzaną.

Zdaje nam się, że już niedoznamy zawodu, że niebo zachmurzyć się może, ale na chwilę tylko, że wiatr północny nie zmrozi już krwi w żyłach naszych, że niespożyta potęga wiosny przełamie wszelkie zapory, wszelkie przeszkody usunie i rozrzuci powaby swoje i czary na ziemię i ludzi, na to wszystko, co czuje, żyje i myśli.

Żegnamy więc ciebie kominku ciepły, miły towarzyszu podczas długich wieczorów zimowych; trochę się wysnuło — przy tobie, trochę niepotrzebnych szpargałów w ognisku się twojem spaliło, rozbudziło się wspomnień trochę, z których już tylko garstka białego popiołu została, które się rozwiały, nie pozostawiając żadnego widocznego śladu po sobie. Żegnaj, mój przyjacielu stary, lecz za złe nic nie bierz, że tylko odrobinką smutku cię żegnam, ale się zbliża królowa-Wiosna, a za nią orszak płynie, lekki, powiewny zdmuchując sen długi z powiek ociężałych od snu zimowego, dzwonić pieśnią arfianą na nowo rozbudzonych: wiary, nadziei i miłości.

Lat temu 50, gdy w d. 5 Kwietnia, skromny, dwukonny karawan, w nielicznym orszaku żalobnym zawiózł zwłoki s. p. Juliusza Słowackiego na cmentarz Montmartre. „Żadna mowa pożegnalna — pisze Feliński — żaden jęk głośny lub niewieście łkanie, nawet rodzinny nasz Anioł Pański nie ozwał się na tem wzgórzu cmentarskim; tylko grudki ziemi ręką życzliwych sypane, głuche echo wywoływały z trumny, mieszając się ze śpiewem kapłana: „Requiescat in pace!“ A oto dziś po latach pięćdziesięciu, w oktawę śmierci poety, niezliczony tłum przepelniał kościół S-go Krzyża i słuchał w skupieniu uroczystego nabożeństwa za spokój tej duszy, która za życia spokoju nie miała.

Tlum przepelniał kościół, w prezbiterium, (do którego, dla uniknięcia natłoku wydawane były bilety wejścia), zebrali się poeci, literaci, dziennikarze i artyści, jako też wiele osób z różnych warstw inteligencji, (z wyjątkiem arystokracji). J. E. ksiądz biskup Ruszkiewicz, w szatach pontyfikalnych, nabożeństwo przed wielkim ołtarzem, rozpoczął; asystowali mu: jako archidyacon ks. Michalski, jako dyakon księży: Sękowski i Kozakiewicz oraz kapelan ks. Kwieciński w otoczeniu czterestu księży i alumnów seminarium.

Podczas nabożeństwa z chóru odezwała się najpierw „Lutnia“ pod dyrekcją Piotra Maszyńskiego, wspaniałem „Requiem“ z mszy żalobnej Verhaesta; następnie odezwał się śpiew p. Korolewiczówny: „Panie, gdy serce drży“ a potem Grąbczewski: „O władco świata!..“ Znane a piękne pieśni Moniuszki. Następnie znów „Lutnia“ wykonała „Sanctus“ z tej samej mszy Verhalsta, a po podniesieniu p. Frenklówna od-

śpiewała „Pieśń pokutną“ twórcy Halki. Wreszcie zabrzmiały ostatnie tony pieśni chóralnej we wspaniałym „Agnus Dei“ i—Msza się skończyła.

Ale tłum nie wychodził—choć posępne *Libera* przebrzmiało i biskup osobiście odprawił kondukt dwukrotnie obchodząc katafalk. Z zapartym oddechem czekali marsza Chopina, owego jęku dzwonów zakłętego w instrumenty muzyczne.

Urczystość skończyła się—i tłum, o ile gwałtownie dobiegał się do miejsc w prezbiterium, w tyle rozchodząc się powoli, otaczając katafalk, na którym widniało w otoczeniu krzewów i bzów rozkwitniętych bzów białych, popiersie. Wielu zatrzymywało się długo pod posągami poety, jakby chciało rysy jego zapamiętać, albo coś z jego życia przypomnieć. Zaprawdę służba kościelna usunęła popiersie; żaliło się też wielu na to, że nie mogło przypatrzeć się twarzowi wieszczki. Odbyło się więc wszystko z wielką powagą chwili właściwą, rzecz jedna tylko zakłóciła ten spokój, o której chcę parę słów tu wspomnieć i zwrócić się do publiczności, by słowa moje do serca i—pamięci wzięła.

Wiadomym jest, że podczas podobnych uroczystości, kościół musi być przepelniony. Trudno zabronić wstępu do świątyni Bożej, trudno zabronić ludziom oddać hold wielkim umarłym. Ale wstęp do Prezbiterium musi być zawarunkowany. Pewna tylko liczba osób zmieścić się tam może, ażeby choć kawałek miejsca było wolnego dla przejścia biskupiego orszaku. I z tej to tylko przyczyny, rozesłano ograniczoną liczbę biletów.

Zdaje się więc nam, że gdy zastrzeżono *wyrażenie* na biletach i w pismach, że wstęp do prezbiterium jest dozwolony li tylko za okazaniem biletów—nieposiadający ich nie powinni się ani przemocą ani fortem wciskać. Tymczasem, dając złe świadectwo o sobie—zaczęto szturmować zdobywać wejście do prezbiterium. Niepomogła straż podwójna „z panów“ utworzona, najgrzeźniejsza persfazy: jedne panie zaczęły się dąsać, drugie burzyć się i obruszać, że—albo milczeć potrzeba było, albo zwracać się z uwagami, które, z natury rzeczy—niemogły być przyjemne. Jeden z przyjezdnych cudzoziemców—stojący przy mnie odezwał się, patrząc na te znajdowanie się—inteligencji.

— Mało kulturalni jesteście!..

Wzdrygnąłem się niemile. Ale... co odpowiedzieć mu miałem?

Znajdowanie się takie publiczności to tłoczenie się bezprawne, doprawdy, że jest grzechem przeciw kulturze.

Panowie i Pani! trzeba się uczyć, upłynął czas złoty.

Wybaczcie, że tu tę sprawę podniosłem, ale fakt ten niewypowiedzianą przykrość mi sprawił. Niedosć, że narażacie się na uwagi ze strony służby kościelnej czynione, ale utrzymującym porządek „panom“ sprawiacie przykrość, zmuszając ich, wbrew ich woli i zwyczajowi, do niegrzecznego obejścia się. Boć nie jest grzeźnością nieprzepuszczenie przez próg kobiety, a jednak niegrzeźność ta w danym wypadku popełniona być musiała. Po cóż więc się narażać, być natrętną, błagać, przemawiać jak najczulej i tym sposobem tamować przejście tym, którzy zawczasu w bilety zaopatrzyć się zdołali?

Ale dąsyt moralów — nie! to nie moralny, lecz prośba i zwrócenie uwagi, by nie narażać się — na uwagi.

Wydźmy na werendę!..

Ciepło, słonecznie, nie rozwijają się jeszcze drzew liście, lecz już pączki nabrzmiały wskazują, że lada chwila wiosna cudów dokonywać będzie. Z ziemi kielkują irysy, przytulne fijołki wonne główki z pomiędzy liści ukazują, zielenią trawy, czekają tylko deszczu i pierwszej błyskawicy i gromu pierwszego.

Pod ręką mi się znalazł jeden z ostatnich numerów „Biesiady Literackiej.“

Rzucam oczyma i czytam:

„Przed dwoma laty, kiedy wszyscy myśleliśmy o tem, jak upamiętnić rocznicę Mickiewicza,

„Biesiada“ radziła, aby niezależnie od innych oznak czci, otworzyć Towarzystwo imienia wieszczki, opiekujące się zabytkami przeszłości. Ważne są one pod względem artystycznym, dziejowym, naukowym, jeśli istnieje w nich ślad nowego pochodzenia cywilizacyjnego. Wówczas to wytłumaczyliśmy ważność tego żądania, jakie podnosimy z powodu ociągania się.“

I dalej:

„Niektóre pisma myślą, że starania o założenie Towarzystwa ochrony zabytków dziejowych poszły już w zapomnienie. Prześlepienie nie jest występkiem, więc i teraz można przebaczyć tym, którzy zjawiają się z rzeczą będącą w biegu, jako z nowością, a przez to krzyżują rozpoczęte zabiegi, może nawet oddalają spełnienie zamierzonego celu.“

*Lepiej później, niż nigdy* — mówi przysłowie — a czas już wielki, ażeby ważną tę sprawę doprowadzić nareszcie do pożądanego celu. Zdumienie, jeżeli nie strach nasby przejął, gdybyśmy mogli zrobić wykaz, nie już w proch rozspanych tych zabytków przeszłości, ale—wywiezionych zagranicę przez kupców—z Anglii przeważnie. Niejednokrotnie nie wiemy sami, co mamy u siebie. Pozbywamy się czasami za grosz lichy rzeczy dużej wartości, nie zdając nawet sprawy, jak oszukani zostaliśmy przez — znajomego się na rzeczy a sprytnego handlarza starożytności. Duża jest w tem wina niezaradności naszej, biedy, nieuctwa, karygodnej obojętności zresztą na to wszystko, co mówi *pro domo nostra*. Ludzie bogaci możeby niejedną rzecz cenną nabyli, ale nie mając wyobrażenia o przedmiocie sprzedawanym, chwiewają się z oznaczeniem ceny, aż póki handlarz zagraniczny drogocenny przedmiot z przed nosa im nie schwyci. Przytoczę tu na przykład jeden wypadek, którego świadkiem byłem:

Mój przyjaciel S. G., którego los niemiłosiernie prześladował, walczył długo z biedą, nie chcąc się pozbyć pamiątki po pradziadkach przepyszniejszego pasa litego, na którym był napis: „Słuck.“ Przycięsnięty jednak do muru, udał się do jednego z panów z propozycją kupna. Chciał go sprzedać za rb. 200, pan \*\*\* wahał się dać tyle. Rozpoczęły się targi. S. od 200 rubli odstąpić nie chciał, pan \*\*\* doszedłszy do 175 rb., więcej zapłacić nie chciał. S. zmartwiony wraca do siebie, spotyka mnie, który znajdując położenie materialne, daję mu radę następującą:

— Wiem, że giniesz prawie z głodu — musisz pozbyć się miłej sobie pamiątki, tem bardziej, że masz żonę i dziecko. Słyszałem, że przybyli jacyś kupcy z Hamburga i skupywają stare rzeczy—idźmy do nich.

Poszliśmy.

Kupiec-Niemiec opatrzył przyniesiony przedmiot i — *nie pytając* o cenę, ofiarował rb. 600. S. zażądał wtedy 800—i żadaną sumę dostał *od razu*.

Pytanie: Wiele pan kupiec zarobić musiał? ile wyższą musiała być wartość pasa?..

A my—czy mamy znawców? Do kogo, w podobnym do wyżej opisanego wypadku, potrzebujący z radą ma się udać? Cóż zaś mówić orzeźbie, malarstwie, starych szablach i siodłach, odlamkach bronzów i t. p.

Z całego serca życzymy jak najszybszego powodzenia zacnej myśli Sępa i o poczynionych w tym celu krokach zawiadomimy czytelników naszych.

??

## SURSUM CORDA.



Wyżej serca! Wyżej, wyżej,  
Nad mroki tej ziemi;

Im ku niebu będziemy bliżej

Tęsknoty naszemi—

Tem nam życia ostre bóle  
Mniej będą okrutne—

A w zbawiennej wyżyn szkole

Nasze serca smutne

Znajdą sobie karm żywota

Bujną, przebogata,

Kędy marzeń przedza złota

Przybierze się szata,

Jakiej próżno szukać temu,

Kto przy ziemi blisko

Poziomemu sercu swemu

Obierze siedlisko,

By miast życia z tchnień błękitów

Pić jad nędzy ziemi,

I nie ujrzyć życia szczytów

Nawet sny swojemi,

Które zdala od ogniska

Wiekuiowych mocy—

Widzą tylko sobie zbliżka

Życia tego nocy—

I nie pragną nawet zorzy,

Utkanej w promienie,

Jakie dusza nasza tworzy

Ze światła i cieni,

Które rozsiał wśród bezbrzeży

Wszechświatów bez końca

Ten, co z ducha swego szerzy

Wieczne bytu słońca,—

By rozpraszać niemi ciemnie

Tych ziemi omroczy,

Co nam w życiu niedaremnie

Zamykają oczy,

Kiedy patrząc, nie widzimy

Co widzieć potrzeba,

Aby zmysły zawodnymi

Dostrzedz wielkość nieba!

A więc wyżej serca, wyżej,

Nad tej ziemi mroki—

Tam dopiero się nam zbliży

Cel bytu wysoki—

I poznamy czem te zorze

Niebieskich przezroczy,—

Gdy królestwo ujrzym boże

Śmiertelnemi oczyl!..

Helia.

## BARWINEK.



Z najpierwszych kwiatów co w kwietniowej

Miejsce w przyrodzie zdobywają sobie, [dobre

Najtkliwszem zwykle witam pozdrowieniem:

Barwinek—bo mi zakwita wspomnieniem.

Wśród lat szeregu, których zbiegło tyle,

On mi dokładnie przywodzi dwie chwile!..

Pamiętam, kiedyś, w owe pierwsze lata,

Kiedy się jeszcze jak ptak dziki lata,

Kiedy się jeszcze jak kwiat polny nie wie

O burzach uczuć i wrażeń ulewie,

Kiedy się jeszcze nie marzy, nie sądzi,

I tylko w lesie, po pas, w zielsku błądzi,—

Pamiętam wtedy—dziecko bardzo małe,

Chodząc po naszym prześlicznym ogrodzie,

Nieraz wbiegałam na urwistą skałę

Patrzeć na słońce złote o zachodzie,

I na barwinki co się tam gromadą

W skalnych szczelinach ciemnym listkiem kładą

A gdy błękitne rozkwitnęły kwiaty  
Skała się w bujne przyodziewa szaty,  
I tak kwiatami splywa każda strona,  
Jakby ta skała wzięła na ramiona  
Z błękitów jasnych tkany płaszcz bogaty.  
Ale to wszystko jeszcze w dziecka oku  
Nie miało wrażeń świadomych uroku;  
Ja wtedy w sobie czułam wiosny tyle —  
Że mi się kwiaty, ptaki i motyle  
Zdawały tylko cząstką mego bytu  
I nie budziły osobno zachwyty,  
I czułam tylko, że tę wiosnę piję,  
Tak—całą, razem, i żyję nią, żyję!

Minęły lata. po wielu jesieniach,  
Po długiej pracy, i różnych cierpieniach,  
Już w mego ducha rozkwitniętej wiosnie—  
Znów tam stanęłam gdzie barwinek rośnie,  
Gdzie szara skała pod moją się nogą  
Świeżych błękitów otulała togą.  
I w mojej duszy dopiero tym razem  
Miejsce to pięknym rozkwitło obrazem.  
— Jak tu cudownie! rzekłam w uniesieniu;  
Jak ten barwinek lekki i znikomymy  
Miętko zapada w tej skały załomy  
I ślicznie łączy kamień ów z kamieniem!  
A pośród kwiatów i liści bujności  
Głaz widać białą jak czaszkę i kości,  
Jakby po bitwie walnej, tu złożono  
Zwłoki tytana pod kwiatów zasłoną,  
Gdy jeszcze nad nim, złotawo się w dali,  
Dogasające słońce sławy pali...

To samo miejsce... a jednak przed laty  
Widziałam tylko skałę—słońce—kwiaty.  
A teraz wszystko miało swoje słowo,  
Mówiło do mnie tą przyrody mową  
Którą się wtedy dopiero pojmuje  
Gdy się jej symbol własnym sercem czuje.  
Bo ja już myślą byłam na wyżynie  
Zkąd się uczuciem w głębie życia płynie,  
Gdzie się w wrażenia falującym tłumie  
Znaczenie ważnych chwil piękna rozumie,  
I gdy się żyło już wolą, uczynkiem,  
Myślą i troską, pracą i natchnieniem—  
Umie się mówić z przyrodą—wspomnieniem—  
Umie się mówić z małym barwinkiem...  
I zapatrzona w kwiatów ciemne oczy,  
W których wieczornych łez kropelki stały,  
Tak zaśluchałam się w ten gwar uroczy—  
W którym akordy całej wiosny grały—  
Że mi się żegnać nie chciało tej skały—  
I z owej chwili rozstać się wrażeniem...

Dziś, dwie te chwile są tylko wspomnieniem.  
Lecz odtąd, jeśli kiedy na mej drodze  
Świeży barwinka kwiatek się ukaże—  
To obojętnie nigdy nie przechodzę —  
Tylko przystaję... myślę... dumam... marzę...

*Szczęśna.*

Kazimierz Gliński.

## KRZYWDA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg.)

XV.

### Same niepewności.

Pani Karolina cieszyła się z odniesionego zwycięstwa. Było ono jednak dość łatwe, bo sam Hipolit niezbyt się jeszcze do myśli swojej przywiązał, a panna Matylda nie była istotą, od której duszy oderwaćby nie mógł.

Lecz na dzisiaj nie żądała więcej.

Hajczyńce odsunęły się znów od Górek, zamierzając wątpliwości w sercu pana Hipolita obudzić się na nowo, i ona już nie pozwoli ułożyć się im do snu.

Przekonała się jednak pani Karolina, że trudne ma do spełnienia zadanie. Może upłyną rok, dwa, i nowe pragnienia, skierowane tylko w inną stronę, zrodzą się znów w duszy jej syna. Powinna więc czuwać i zawczasu niweczyć powstające zamiary. Po kilku nieudanych próbach ze strony Hipolita musi przyjść zniechęcenie i danie za wygraną marzeniom już wszystkim. W tem ważną rolę odegra nieufność i brak wiary w serce kobiece. Płonkę tej nieufności już pan Hipolit miał dawno zaszczerpioną w swem sercu, dzisiaj powędł kielek znów ożył i głębiej już tylko swoje korzenie zapuści. Nastąpi może walka uczucia z rozsądkiem, lecz w tym wypadku (wiedziała już to dobrze) uczucie słabe, rozsądek był silny: walka więc nierówna.

W zapatrywaniu się swoim na stosunek Hipolita do Matyldy nie myślała pani Karolina: miłości tam nie było, budziło się tylko słabe przywiązanie, które zwać mógł lada podmuch silniejszy. I zdmuchnięte zostało, nie bez pewnej jednak przykrości.

Uczuł to pan Hipolit, gdy, wyszedłszy z pokoju matki, u siebie się znalazł. Od paru miesięcy puste ściany swojego mieszkania przywykł już marzeniami zapełniać. Marzenia to były bardzo skromne, nie miały barw zbyt tęczyowych, lecz zawsze oblewały tę pustkę cichem, łagodnym światłem. Bądź co bądź, nie sam już był: jakiś cień przesunął się, zachodził mu drogę czasami i myśli jego potraçał.

Teraz znowu chłód uczuł i dawną, gnębiącą pustkę.

Wstrząsł się.

Zimno, głucho i dziwnie smutno!

Taka pustka i smutek zalega mieszkanie, gdy umarłego na cmentarz daleki wyniosą, gdy jedna dusza ubędzie, która ważyła coś w życiu, a wszystkie ściany i gzemsów załomy szepcą okropne słowa wieczystego rozstania:

— Na zawsze!

Panu Hipolitowi nikt nie umarł, a pozostaje pod wrażeniem przynębiającej chwili. To wołanie wiecznego żalu odzywa się zewsząd, szepce mu w uchu i z marzeń wszystkich opróżnia serce. Nigdy i niczem nie zapełni już tej ciszy. Wprawdzie wspominała mu matka, że kobiet jest dużo na świecie, do których mógłby sercem swem przyrość, lecz on nie wierzył temu. Zdawało mu się, że bardzo się zestarzał, że na nim, od dnia już urodzin, jakieś fatum dłoń swą położyło i skazało na wieczną samotność. Nie umiał pozyskać nawet serca tej, której dziecięciem był z krwi i kości, o której miłość nie prosi się nigdy, bo sama nią obdarza, a cóż, gdy mu przyjdzie starać się o uczucia serc obcych, dostukiwać się drzeń, tak szczelnie nieraz zamkniętych piersi? Tymczasem, z nowonawiazanemi stosunkami z domem Hajczyńskim, parę technię

owioneło zziębniętą pierś jego—i one mrozem ścięte zostały. Choć odrobinę chciał szczęścia, i dla tego jedynie dłonie wyciągnął do cienia cieniów. Lecz po co się ludzić? w sercu panny Matyldy niema miłości, i słowa matczyne niczem innym nie były, jak tylko potwierdzeniem jego myśli, przyłożeniem pieczęci do rodzących się wciąż wątpliwości.

„Gdybym dał się oszukać i, wprowadziwszy pod dach ten żonę, chłód, obojętność dostrzegł?.. To stokroć gorsze,—szeptał,—niż zdwojone lata przeżytej dotąd samotności.“

Przerażało go wciąż zimno kobiecego serca, ta mara dręcząca, to widmo straszliwe, niezabite żadnym wysiłkiem woli.

Myśląc tak, chodził krokiem powolnym, zakreślając elipsy dokoła jadalnego stołu; coraz głębszy smutek na dnie jego duszy siadał, coraz większa roztaczała się pustka. Kukulka raz w raz kukała, lecz on nie słyszał jej nawoływań, zbliżył się raz tylko do okna i spojrzął na szyby, które mróz dzierzgał w liście i palmy i skrzył się, jak rozsypane brylanty.

Pomimo jednak wszystkich rodzących się w duszy wątpliwości, ostatecznie nie zrywał z panną Matyldą. Czuł tylko, że się coś oddaliło od niego, był pewien, że się oddali zupełnie, ale w myśli swej nie szepnął ni razu: „Skończyło się!“ Pani Karolina nie obiecała wprawdzie być w Hajczyńcach, lecz on z niemi nie zerwie; stosunki trwać będą nadal, a kto wie, jak się ułożą? Nie miał prawie żadnej nadziei, by ułożyły się dobrze, — lecz może w sercu panny Matyldy dostrzeże to, co radby nazwał: iskrą uczucia. Z nienawiści czasami miłość się wytwarza—dla czegoż obojętność nie ma się przemienić choćby w tliwość serdeczną? Rzucił myślom pytania bez wiary w odpowiedź pożądaną; przeciw wątpliwości wątpliwość stawiał, wiedząc zresztą, że rozumowanie w sprawach serca złym jest rzecznikiem miłości.

Dawno już po północy było, gdy na spoczynek się udał. Obudził się przed zawołaniem kukulki. Głowa mu ciążyła, jakby ołowiem wylana; powieki miał zmęczone, jakby sen o należne sobie upominał się prawa. Wyszędłszy do gospodarstwa, uczuł zimno przenikliwe, dreszcz i jakby łamanie w kościach; wróciwszy do domu, był zdziwiony zaprosinami matki na obiad.

Pani Karolina dostrzegła zmianę w synu.

— Chory jesteś?—spytała.

— Zmęczony tylko—nie spałem noc całą, — odpowiedział pan Hipolit.

Grudowska nie poruszała przedmiotu wczorajszej rozmowy, zdawało się, że o niej zapominała zupełnie, ale pragnąc dać dowód pamięci swojej o synu, obdarzyła go podarunkiem kupionym we Lwowie. Był to srebrny porte-cigare, ze spletanemi inicjałami imienia i nazwiska pana Hipolita.

— Masz dowód mojej pamięci,—rzekła.

— Dziękuję,—szepnął Hipolit nachylając się do ręki matki.

— Przypatrz się teraz, co tu różnych naku-piłam drobiazgów,—mówiła dalej pani Karolina, rozrzucając przed panem Hipolitem kawałki jedwabów, aksamitów i splotów przepysznych koronek. — Nie śmiej się, jeżeli powiem, że to wszystko na pieluszki dziecięce, poduszeczki i czepekki dla syna, który Henrykowi się urodzi. Zawczasem pomyślałam o tem, lecz to dla tego, że wszystko chcę własną ręką uszyć, bez pomocy nawet Maryanny. Ja zaś nigdy biegłą krawczynią nie byłam.

Rozwinęła żurnale i pokazywała fasony dzieciennych czepeków i koszulek, desenie haftów na kołderki i narożniki do poduszek.

— Jakie masz zamiary na wieczór? — spytała syna, gdy wychodził.

— Żadnych, mam.

— Więc się zapraszam do ciebie na herbatę.

Pan Hipolit podziękował za niebywałą dotąd łaskę.

Dzień cały był niezdrów, czuł dreszcz i gorączkę na przemian. Wieczór przepędził z matką, która widząc przynębnienie i smutek na twarzy syna, uczuła znów niepokój i gniew chwilowo ukołyszany. Czyżby naprawdę kochał—i—

kłamał przed nią? Posepność i na jej twarzy usiadła, wysilała się na uprzejmość, — ale dźwięki niezgodne zawsze zabrzmiały dysonansem.

Od tej chwili niezwykła zaszła zmiana w życiu pana Hipolita. Na obiady był zapraszany do matki, wieczorem pani Karolina przychodziła do niego. Po miesiącu zaprosiny i odwiedziny te przybrały stałą formę. Pani Grudowska, jeżeli nie okazywała się tkliwszą, nie starała się niczem zrażać pana Hipolita.

I stała się rzecz dziwna.

Dawniej pan Hipolit czułby wdzięczność za te dobrodziejstwo odwiedzin, — dziś one go krępowały i jakiś ciężar na pierś mu ważyły. Zrazu nie mógł pojąć znaczenia tej przemiany trybu życia, później zdało mu się, że sam bieg wypadków wpłynął na ten zwrot uczuć pani Karoliny. Henryk ożenił się i połową serca oddzielił się od niej; przekonały ją zresztą lata, że ukochany syn niezbyt się troszczył o jej wygodę, podczas, gdy on, Hipolit, czarnym się chlebem żywił, niejednej nocy nie dospał, lecz ją otoczył wszelkimi wygodami i jak najtkliwszą opieką. Rozbudziło się wreszcie kamienne serce — stałość skruszyła skalę. Ale bliższa rozważała dojrzeć w tem wszystkim — tylko komedję. Lecz nie zdradzał swoich domysłów; co czuł, to w głębi duszy ukrył, a myśl jego mimowoli zwróciła się do Hajczyniec.

To dziwne! im ją odtrącał silniej, tem ona wciąż natarczywszą się stawała; nigdy bardziej nie pragnął ujrzeć panny Matyldy i nigdy jeszcze tak nie ociągał się z wybraniem się w odwiedzin do niej. Po kilku tygodniach wreszcie miał już wyruszyć do państwa Rybostwa, ale pani Karolina odezwała się:

— Jedziesz? a zkimże ja dzisiaj wieczór przepędzę?

I pan Hipolit został, choć jakiś śmiech głuchy jego wnętrzościami zatargał, gdy zimne usta matki, jako podziękowanie, na czole swoim uczuł.

Lecz wzgardzić niem nie mógł. Został, by tym czynem posłuszeństwa dać jeszcze jeden dowód synowskiego przywiązania. Tyle lat nie doznawał pieczęci żadnych, nie słyszał słów tkliwych, wszystkie uczucia i całe ciepło matczyne serca zabrał brat młodszy, — z kądem więc teraz ta nagła zmiana w postępowaniu pani Karoliny, to pragnienie towarzystwa odtrącającego dotąd syna?

„Gdyby nie panna Matylda, — szeptał w duchu, — nie obawia z twej strony, matko, że mój duszą do niej przylgnął, — nie byłabyś ty codziennym gościem u mnie i jabym dotknięcia ust twoich na swoim czole nie czuł.“

Gorycz zalała mu serce, nie dlatego, że stawały coraz większe przeszkody na drodze do Hajczyniec, lecz, że budząca się ta niby miłość matki, nie była niczem innym, jak udaniem, którego cel coraz widoczniejszym się stawał panu Hipolitowi.

Nadszedł czas drżysty, błotnisty Marzec, — pan Hipolit nie ruszył się z domu. Owładnęła nim jakaś apatya i coś w rodzaju melancholii.

Przeciągająca się niebytność Grudowskiego w Hajczyniach niepokoiła panią Brygittę. Pan Ryba uspakajał małżonkę, tłómacząc nieobecność Hipolita zajęciami gospodarskimi, bo była to zresztą chwila omlotu i wydawania kupcom nabytego zboża, splacania resztek długów i ostatecznego obrachunku z tak zwycięsko przeprowadzonej kampanii. Niepokoił się jednak trochę i on, choć wiedział dobrze, że konkury mogą się i do roku przedłużyć, ale pani Rybina słysząc o tem nie chciała.

— Niechby się choć oświadczył! — mówiła.

— Bagatel!

— Przecie oboje tego pragniemy.

— Jabym chciał, żeby już i do ołtarza poszli — tego uważasz, — odpowiedział pan Ryba.

— Lecz przed tem powinien się zdeklarować, — wołała niecierpliwie pani Brygitta.

— To rzecz bardzo naturalna — tego uważasz.

— Dlaczegoż nie przyjeżdża? dlaczego nie decyduje się dotąd, kiedy nas taka niespokojność trapi?

— Albo ja wiem, dlaczego?

— Ty nic nie wiesz! — krzyknęła małżonka.

— Cóż to, do stu tysięcy dyabłów! — wrzasnął pan Ryba. — Przecie nie mogę za uszy go wziąć i do Hajczyniec przyprowadzić? Zresztą przypomnij sobie, Brygittko, tego uważasz, czy ja, na przykład, o ciebie nie starałem się dwa lata przeszło?

— Ale ja miałam lat osiemnaście.

— Przepraszam, dwadzieścia i trzy!

— Osiemnaście — jest metryka!

— U mnie, — dodał pan Ryba.

— Mniejsza zresztą, — ciągnęła pani Brzgitka, — ale Matyldka...

— No wiem, wiem, — przerwał pan Ryba, — ale, tego uważasz — ja na to nie poradzę.

— Jedź do Górek!

— I co?

— I co! mój Ty Boże Święty, — zawołała pani Rybina, ręce załamując. — Odwiedz, poproś...

— Żeby się oświadczył! — krzyknął pan Bonawentura.

— Ty awantura powinienes się nazywać! — wybuchnęła pani Brygitta. — Poproś, żeby przyjechał, odwiedził, rozumiesz?

— No dobrze, tego uważasz, tylko się nie irytuj!

Pojechał, ale wpół drogi spotkał Tołpiskiewicz, który go zawiadomił o powrocie pani Karoliny z zagranicy. Pan Ryba pomarkotniał, wysiadł z powozu, co też i Tołpiskiewicz uczynił, — i zaczęli przechadzać się po błocie. Przyjazd Grudowskiej wiele niemiłych myśli nasunął panu Rybie. Dowiedział się od Tołpiskiewicza, że od paru miesięcy pani Karolina bawi już w Górkach miała więc czas odpocząć po niewygodach podróży i z rewizytą do Hajczyniec przybyć. Pocięszała go tylko myśl jedna, że dotąd jeszcze nikogo z sąsiadów nie odwiedziła, tłómaczył też sobie jej przyjazdem i nieobecność dotychczasową pana Hipolita. Markotny jednak był i sam nie wiedział, czy miał jechać do Górek czy wracać do Hajczyniec z powrotem. Gdy wróci, co Brygittka na to powie? przyzna mu słusność czy *pietra* napędzi? Obawiał się zaś w danej chwili spotkania się z panią Karoliną, która, gniewna może za zerwanie dawniej dobrych stosunków, teraz sprawę zbliżenia się dwóch domów na ostrzu noża postawi. Bądź co bądź, odwiedzając pana Hipolita, musi i panią Grudowską odwiedzić, a obawiał się ujrzeć drzwi zamknięte przed nosem, którego to afrontu z zimną krwią znieść by nie mógł. Musiałoby się wszystko zerwać raz na zawsze, boć przecie i Rybowie wysoko się nosili i w czci niemałej mieli honor własny. Tymczasem, kto wie, czy pan Hipolit nie pracuje nad przełamaniem uporu matki? Zjawieniem się nie w porę mógłby zepsuć w pół rozpoczęte dzieło.

„Jeżeli Grudowska drzwi zamknie przedemną — mrucał — to niech się co chce dzieje, ale pana Hipolita za poły łapać nie będę. Brygittka się wścieknie, wiadomo! Zawiozę więc ją do Bujwida, ale kłaniać się nie potrafię!... Jechać, czy nie jechać? tego uważasz.“

Postawił naprzeciw dwa palce wskazujące, zakręcił młynka i zbliżył szybko do siebie.

— Co to takiego, mości dobrodzieju? — zapytał Tołpiskiewicz.

— Wróżba — tego uważasz.

— Jaka? mości dobrodzieju.

Pan Ryba podrapał się za uchem i ujawszy przyjaciela pod rękę, o kroków parę oddalił się od powozów. Przed Tołpiskiewiczem sekretów nie miał, opowiedział więc mu o strapieniu swoim.

— Radź, bo mi konceptu braknie, tego uważasz.

— A posłuchasz, mości dobrodzieju?

— Naturalnie, że posłucham, bo — tego uważasz — łatwiej mi będzie i przed Brygittką się wytłumaczyć.

— Nie jedź, mości dobrodzieju, bo bardzo słuszną twą uwagę, mości dobrodzieju, że Hipolit może pracuje nad nawiązaniem zerwanych między wami stosunków, mości dobrodzieju. A, o ile wiem, mości dobrodzieju, toście się sami przyczynili do tego.

— Brygittka, nie ja! — odezwał się szybko pan Ryba.

— To wszystko jedno, mości dobrodzieju, ale Grudowska nie należy do tych, którzy zbyt łatwo, mości dobrodzieju, zapominają urazy.

— Wiem o tem, — westchnął pan Ryba.

— Zatem, mości dobrodzieju, — ciągnął Tołpiskiewicz, — wizyta twoja dzisiejsza może wypaść ni w pięć, ni w dziewięć. Zresztą, byliście całym domem u pani Karoliny, teraz czekajcie ją u siebie. Jeżeli przyjedzie do Hajczyniec, to, mości dobrodzieju, za družbami będziesz się mógł obejrzeć. Taka jest moja rada, mości dobrodzieju! Na wszystko potrzeba czasu — czas!

— Ja też zawsze mówię Brygittce: lente, lente!... Ale ba! Zrób co z beczką, gdy klepki zbraknie!

Przechadzali się po błotnistej drodze tam i sam, rozmawiając półgłosem:

— Więc wracać, tego uważasz?

— Wracać, mości dobrodzieju.

— I czekać, tego uważasz?

— Czekać, mości dobrodzieju.

— A jeśli nas, tego uważasz, w trąbę puści?

— Nie sądzę, mości dobrodzieju, by tak źle było...

— Przeczucie mam nieszczególne, tego uważasz.

— Ja, mości dobrodzieju, pojedę sam i panią Karolinę wybadam. Zobaczę, jak tam jest, i może utrę drogę dla ciebie.

Pan Ryba zatrzymał się i słuchał.

— Hipolit w Piaskach buduje dom, o! — szeptał Tołpiskiewicz.

Pan z Hajczyniec aż podskoczył.

— Nie może być, tego uważasz!

— Tak jest, mości dobrodzieju... Przekonaj się sam, do Piasków parę wiorst mamy.

— Siadaj ze mną, pojedziem razem, — odezwał się pan Ryba, a gdy już znaleźli się w powozie, zwrócił się do Tołpiskiewicza i rzekł:

— Tego uważasz... to wiadomość nie jest bez znaczenia!

— To bardzo ważna nawet, mości dobrodzieju! Zawrócili do Piasków.

Pan Ryba naocznie się przekonał, że Tołpiskiewicz nie kłamał.

Pod zmyślnym jakimś pozorem zajechali na folwark i zagabnęli Groblewskiego.

— A co tam budujecie? — spytał niby od niechcienia pan Bonawentura, wskazując ręką na ułożone porządnie słupy i podkłady, krokwie i futryny okien rozebranego domu Ziemana.

— A oto, proszę, pan dziedzic ma dom stawiać, — odpowiedział Groblewski.

— Żeni się, mości dobrodzieju? — zapytał Tołpiskiewicz.

— Niewiadomo — mówił ekonom, — ale Czubiński powiada, co może być.

— A z kim, tego uważasz, — nie nie wspominał?

Groblewski jakoś uśmiechnął się dziwnie i spojrział z pod oka na pana Rybę.

— Nie mówił, proszę jaśnie pana, ale ludzie się domyślają.

— Zakomunikuj że nam tę wiadomość, — rzekł pan Ryba. Przecie Grudowskiego znam dobrze i chciałbym mu powinszować, tego uważasz, party.

— E, proszę jaśnie pana, — zaśmiał się Groblewski. Kto a kto, ale jaśnie pan lepiej wiedzieć powinien od nas.

— Ja? żką, tego uważasz?

Pogadali jeszcze o tem i o owem iruszyli w powrotną drogę.

Oczywiście, że pan Ryba wziął Tołpiskiewicza do Hajczyniec, a żeby ten mu sekundował w tłumaczeniu się przed żoną z nieudanej wizyty w Górkach. Powrócił jednak uśmiechnięty i pełen dobrej myśli, mrugał, „tego uważasz“ co chwila powtarzał, tak że pani Brygitta mimowoli, nie wiedząc o niczem jeszcze, podzielała już radość mężowską.

— Co tam takiego, Turciu, co tam? — pytała, trawiona niecierpliwością.

— Hm, tego uważasz, — mrugnął pan Ryba.

— Panie Aleksandrze? — zwróciła się do Tołpiskiewicza.

## Najnowsze poezye.

(Dokończenie).

Starzy Słowianie zlewali łzy swoje, łzy, tę krew duszy, w małe gliniane łożawice, roboty bardzo prostej, skromnej, nieozdobnej, powierając takiej grudce gliny krople swego bólu, żaloby, tęsknoty... Młody pan Jan Iwański przeciwnie użył formy najtrudniejszej, najmistrzowszej w dziedzinie liryki na wysłowienie uczuć, wrażeń, nastrojów, często nader przelotnych, nieświadomych, niewyraźnych prawie, lub bardzo prostych, niezłożonych, znanych w krainie porywów psychicznych. Dla tego też, z kilkoma wyjątkami, w jego zbiorze „Sonetów“ (Warszawa, 1899), jest pewien rozdźwięk między formą a treścią utworu, formą bardzo ładną, częstokroć a treścią tak rozwiewną, że zaledwie byłaby dostateczną dla jakiejś piosenki polnej lub leśnej, ale nie dla takiej urny poetycznej, jaką jest sonet, wymagającej koniecznie popiołów czegoś wielkiego, wspomnienia czegoś niepospolitego lub stanu ducha tak ściśle naprężonego w bólu świadomym lub namiętności wyraźnej, aby w pierwszych dwóch strofach zakresliła ostro swe zygzaki—uczucie błyskawica, a w dwóch ostatnich tuż za nią uderzał konsekwentny grom. Ostatecznie trzebaż choć obrazu przyrody i wypadku tak dobitnie wypukłego, aby się nie zaciął i na klasycznej wypukłości tej urny, rzeźbił się wyraźnie i jaskrawo. Tymczasem „Sonety“ p. Iwańskiego są mgliste, senne, jakby zahypnotyzowane półjasnymi dopiero uczuciami, wrażeniami, szkicami ducha i przyrody. Panuje tu „poszept niezemski z za światów dziedzi“, „dusza poety leci w „dale“ (?), „w postaci wiotkiej pajęczyny“, a poeta sam „wciąż tęskni“, „czoło mu wieczna tęsknota osłania“ i „tęsknota mu rdzeń duszy uśmierca.“ Wśród takiej-to ogólnej atmosfery tomiku, z przyjemnością wita się realniejszy obrazek, jak „Na fali życia“:

„A jednak, choć tam szaleją dokoła  
„Burze, nie zwijam rozpiętych raz żagli,  
„Bo, zda się, jakiś głos „naprzód idź“ woła,  
„Jakaś mnie siła niewstrzymana nagli,  
„Więc walcząc ciągle z wrogami odmetry,  
„Przez życia fale płynę nieugięty.“

Ale zaraz obok tego jest przyznanie się do marzycielstwa, do rzędu „dzieci tęsknoty“ i jakby owa „nieugiętość“ nie istniała, odpływa dusza autora „na tęsknot łodzi“, błąda, w krainę marzeń. Co obok tych jednostajnych, ale przecie nieraz delikatnie i wdzięcznie rozsnutych mgieł robi ten okropny „Wisielec“ ze swoją „siną twarzą“, nie wiem; to pewna, że obok „Smierci nadziei“ i „Trumny marzeń“ wygląda brzydki i sino, i nieharmonijnie przy tych młodzieńczych zorzach, mgłach, złudach, obłokach, za którymi widać zorzę talentu, który, gdy mgły opadną i uczyni się dzień poważny w duszy autora, ukaże się nam w postaci rzeźwego i ciepłego słonka, z którym i ludziom i samym poetom dobrze na świecie. Przyznać trzeba p. Iwańskiemu, że sonety jego są prawidłowe, rymy mogłyby być wybredniejsze, ale sama chęć wytrwania przez cały tomik w trudnej formie dowodzi poczucia w sobie tyle siły i ochoty do pokonywania przedmiotów więcej przedstawiających artystycznej roboty. Mgły, tęsknoty młodego autora uleca niezawodnie w tej karawanie smętnych sonetów, a na pełne morze natchnienia wypłynę p. Iwański „ku słońcu rwąc się całą swą istotą“ i przekona się sam wreszcie, że słońce ma również „w głębi własnej duszy.“

Najlepszym „zbiorkiem poezyi“ w szeregu obecnym jest książeczka panny Wandy Krasuskiej. I pod względem formy poetycznej i pod względem językowym, a także i co do treści, znać tu więcej pracy, staranności, obserwacji w dziedzinę wewnętrzną ducha, a pewna harmonia

między częściami tomiku, który też składa się z kilku cyklów, wiąże się w całość, w której poznajemy indywidualność młodej autorki. Naturalnie dużo i tutaj bólów, tęsknoty, zwątpień i rozpaczy nawet, silny objaw rezygnacji, a dość śmiało wypowiedzanie uczuć swych serdecznych, czy są one objawem miłości, wyrzutu, skargi czy przebaczenia. W ostatnich czasach pojawiać się zaczęły po czasopismach literackich utwory poetyczne kobiet, których przedmiotem jest miłość wzajemna lub nie dla ukochanego człowieka; objaw to w gruncie samym dodatni, bo dowodzi postępu szczeroci i przekładania nadewszystko prawdy w tem co się tworzy, ale ponieważ te wiersze stoją dotychczas jeszcze na poziomie prób autorskich i szczeroci tej nie ozdabia szata istotnej sztuki pięknej, czynią one wrażenie czegoś rażącego i niemiłego. Objaw ten jednak zaznaczyć muszę, a poezye w tym rodzaju panny Wandy Krasuskiej należą do najlepszych i do—najwdzięczniejszych. Jako wzór wypowiedzania podobnych uczuć przez usta kobiety, na zawsze służyć mogą nieporównanej piękności, siły, poezyi, smutku i uroku sonety p. t. „Myśli przedślubne“, napisane przez zgasłą przedwzrostnie poetkę z ogromnym talentem, Maryę Bartus. Tutaj zapomina się zupełnie, że kobieta żali się na mężczyznę, że to dziewczyna głośno z sercem swem walczy, szarpie się w uczuciu goryczy, tęsknoty, miłości i wstrętu, a widzi się tylko jaskrawy a piękny, prawdziwy a poetyczny bój duszy ludzkiej w odmet losów rzuconej na wielką szczęścia przegrana.

Panna Krasuska tak silnie nie przemawia, tych zalet talentu buchającego od razu natchnieniem, nie posiada, ale ma szczeroci odwagę wypowiedzania wszystkiego co czuje, a między poezyami jej, zawartymi w „Zbiorze“, jest kilka bardzo ładnych i oryginalnych, mianowicie w cyklu „Obserwacje i sylwetki“, utwory jak: „Ofiary“, „Kto kochanym?“, „Byłoby ciszej“, „Ambicje“, w których jest i zwięzłość słowa, ironii trafnej struna i dobre bardzo spostrzeżenia o ludziach. Jaka to np. dobra uwaga:

„Często nie ten kochanym, kto wart czci, uznania,  
„Lecz ten, co zdobył serce zdolne do kochania.“

Sporo siły ma wiersz: „W daremnej walce“, uczucia zaś wierszyk mały „Chciałabym“, a dużo werwy i szczeroci jest w utworach: „Za sercem“ i „Gdybym wiedziała.“ W całym tomiku trzymała się autorka tylko własnej duszy, nie rozrzuciła się myślą po różnych krajach i czasach i formach, lecz w sukienkę piosenki o niewyszukanej formie włożyła swe dotychczasowe bóle, zawody, gorycze i to wszystko, co młoda dusza spotyka na tym łez padole, jeśli nie spieszy się jakoś słońce dla niej z gorącym promieniem szczęścia. Zdaje się jednak, że autorkę te wszystkie utrapienia nie zraziły ani do marzeń o życiu dalszym, ani do pracy, ani do słońca, bo wiem, że pisze dalej, — a jeśli swą młodość a już trzeźwą i rączą duszą zechce zmierzyć cierpienia ogólniejszej natury, burze szerszych horyzontów i światła dalszych dróg na świecie, to i sama łzy swe utuli i piosenki swoje przynagli do zrównania się ze wspólnym krokiem współbraci, którym także czasem niewesoło, a w tej wzajemności uczuć bliźnich odnajdzie tajemnicę tworzenia na szerszą skalę i na większą głębię, niż samo własne serce.

Pozostała mi tu na koniec książeczka mała—dużego poety, książeczka, która nie należy do dzisiaj mnie zajmującego szeregu, bo to praca autora, który już ma swoje znane imię. Ale leżą przedemną te śliczne „Polne kwiaty“, poezye dla młodzieży przez Kazimierza Glińskiego i nie mogę tego odkładać na później, aby od razu nie powiedzieć: jakież one świeże, ładne, jakie opracowane co do formy, jakie pełne swojskiej i miłej nuty, a tak dobrze dla młodego wieku odważone (z paru bardzo małymi wyjątkami w wyrażeniach) na szali uniesienia poetycznego. Te piosenki, to są piosenki-podlotki, piosenki-młodzianki, piosenki ducholęta i mogą bezpiecznie i z korzyścią dla ducha, wyobraźni i uczucia isć

— He, mościa dobrodziko—chrząknął Tołpiskiewicz.

Wszyscy troje udalili się do gabinetu pana Ryby. Po rozmowie pani Brygitta przyznała służność Tołpiskiewiczowi, i, jakkolwiek niepokoiła ją opóźniająca się rewizyta pani Grudowskiej, natchnęła ją otuchą wiadomość o budującym się domu.

Bo dla czegożby pan Hipolit, mając dom w Górkach, drugi w Piaskach stawiał?

Oczywiście myśli o żonie.

A któż nią być może, jeżeli nie Matylda? Wiedzą przecie sąsiedzi, gdzie bywa, do kogo się uśmiecha, jakie łączą go stosunki z tym a z tym domem, co o nim w okolicy wszystkie panny mówią. Wzdycha kilka, lecz on do żadnej nie wzdycha, udziela się mało sąsiadom, był wprawdzie na kilku balach, ale z kim najczęściej tańczył i najchętniej rozmawiał? Słupy nawet na pannę Matyldę by wskazał. A teraz ten dom?

Pani Brygitta nie posiadała się z radości i napomknęła o tem córce...

Ale panna Matylda nie odpowiedziała nic,—zdawało się, że nie rozumie znaczenia słów, spojrziała tylko na matkę, uśmiechnęła się i znów w dal jakąś sennemi wpatrzyła się oczyma.

Pani Brygitta wzruszyła ramionami.

— Wczora waryowała, a dzisiaj? — szepnęła.

Lecz widząc zamyslenie córki, wyszła z pokoju.

Stan zniechęcenia i jakiejś fizycznej omdłości, w jakim znajdowała się Matylda, był następstwem niezwykłego podniecenia, o którym wspomniała pani Rybina. W dniu wczorajszym Matylda z niecierpliwością i niepokojem oczekiwała pana Hipolita, mówiła o nim z ożywieniem, mając twarz rozpaloną gorączkowym rumieńcem. Całowała matkę po rękach, ojcu rzucała się na szyję, raz wraz podbiegała do okna i nasłuchiwała turkotu kół.

Kto wie, coby się stało, gdyby w tej chwili nadjechał Grudowski. Była piękna i pociągająca jakimś ogniem, który ją palił, była tą dawną Matyldą, mówiącą o swoim śnie rusalczanym, bujającą na falach wód, zaczepiona włosami o kół zebra.

Ale godziny mijały, a oczekiwany gość się nie pojawiał. Zaproponowała więc ojcu przejażdżkę do Górek. Oczywiście, że pan Ryba nie zgodził się na tę myśl dziwaczną, co tak rozdrażniło pannę Matyldę, że podarła batystową chusteczkę i rozplakała się. Nad wieczorem dostała silnego bólu głowy, zmorzył ją sen i usnęła w salonie na kanapie. Zbudziła się ociężała, jakby starsza o lat kilka; twarz miała oliwkowej barwy, duże sińce pod sennemi oczyma, ruchy jakieś niepewne były, leniwe i ospałe.

W takim stanie zastał ją pan Hipolit, gdy po dwumiesięcznej niebytności odwiedził Hajczyńce. Panna Matylda przywitała go oziębło, zdawało się, że nie rozumie pytań, a musiała się namyślać nad każdą niemal odpowiedzią.

Grudowski na to mało zwracał uwagi, patrzył tylko na jej twarz obrzękłą, oczy bezmyślne, krok leniwy — i wydała mu się tak brzydka, że gdyby dziś nawet ze stanowczym słowem przyjechał, nie mógłby go wypowiedzieć. Pan Bonawentura tłumaczył niezdrowiem to dzisiejsze usposobienie córki, pani Brygitta o tęsknocie nawet wspomniała, ale Hipolit miał chmurę na czole i sam rozstrojony się zdawał... Nie bawił długo—zatrzymywany wytłumaczył się słowem danem matce, że wróci na herbatę — i pożegnał dwór Hajczyński.

— A cóż pani Karolina tak na nas niełaskała? — zapytał pan Ryba siedzącego już w powozie pana Hipolita.

— Matka czuje się niezdrową od czasu powrotu z za granicy,—odpowiedział Hipolit.

To uspokoiło trochę pytającego, który gniewny był na córkę za ten jej stan chorobliwy. Pojechał do Podhajec i nalegał na Tołpiskiewicza, by do Górek się udał.

Tołpiskiewicz odwiedził panią Karolinę raz i drugi, ale Grudowska oświadczyła przez służbę, że jest chora i nie przyjęła wizyty przyjaciela dziedzica Hajczyńce.

Niepewność zwiększyła się.

(Dalszy ciąg nastąpi).

w ręce młodzieży, aby jej dać chwilę artystycznego wytchnienia, zadamy i trzymać w puście i psotnej zabawie, aby rzucić jej w serce myśl, błysk, kwiat lub łzę, — a taki zasiew zawsze jest zdrowy i musi dać kiedyś plony. Książeczka jest jak polny kwiat strojna, — wydawca M Arcet (Warszawa, 1898) ubrał ją ozdobił i nie pozostaje więcej, tylko aby dostawała się w młode ręce, któreby kwiatek po kwiatku uważnie sobie skubały, a niepodobna, aby im w końcu nie pozostał listek, który „kocha“ to, co w życiu zawsze młode i nie przemija, bo dobre, prawdziwe i piękne...

Szczęśna.

## Z PARYŻA.

W Marcu.

Roboty około przyszłej, a względnie tak już niedalekiej wystawy, postępują z niebywałym nakładem i zdwojonym pośpiechem. Każda wystawa ostatnia przewyższa swą poprzedniczkę rozległością zajmowanej przestrzeni, przepychem urządzenia i coraz nowymi cudami. Nie pamiętamy jednak dotychczas wystawy, któraby na czas oznaczony zupełnie była wykończoną. Jak wiele robót pozostanie jeszcze nieskończonych w dzień otwarcia przyszłorocznej wystawy, dziś orzec niepodobna; w każdym razie, gdy się patrzy na tę olbrzymią przestrzeń, zarzuconą materiałami budowlanymi, na moc, zda się nieprzebraną, nagromadzonych kamieni, pokopane doły, rowy, to pomimo niezliczonego mrowiska robotników, uwijających się około pracy, trudno wyobrazić sobie, iż za rok gmachy, których zaledwie mała część jest wzniesiona, drogi, mosty, koleje i różne bajeczne osobliwości, o których w projektach czytamy, zamieniły się w rzeczywistość.

Pomiędzy gmachami już bardziej wykończonymi znajduje się gmach, przeznaczony na panoramę—dioramą ożywioną, pomysłu i wykonania znanego malarza, Ludwika Dumoulin. Panorama ta, tem różnicę się będzie od dotychczasowych, że pierwszoplanowane obrazy ożywione będą nietylko prawdziwymi przedmiotami, lecz także istotnymi ludźmi, odpowiednimi do danej części panoramy, która przedstawiać ma podróż naokoło świata.

Kolejka parowa, pełniąc zazwyczaj obowiązki tramwaju na placu wystawy, zastąpiona będzie w części przez elektryczną kolejkę nowego systemu. Kolejka zbudowana jest w ten sposób, że do wagonów, biegnących po linii koła, wsiada się w biegu z ruchomej platformy, której obrót zastosowany być musi do szybkości pociągu, ten zaś właściwie jest pociągiem bez końca. Stacja owej kolejki składa się z dwóch okrągłych wprost środkowych platform, z których pierwsza obraca się z szybkością, dajmy na to, 4-ch kilometrów, druga zaś z szybkością 8-miu. Dość jest uchwycić się słupka i postawić nogę na pierwszej platformie, aby zostać porwanym jej biegiem i w ten sam sposób przejść na platformę drugą, o zdwojonej szybkości, a zastosowanej do szybkości biegnącego pociągu, do którego w chwili zetknięcia się z nim obracającej się wciąż platformy, przesiada się z łatwością i bezpieczeństwem.

Przewidzieć można, iż nie każdy przywyknie odrazu do wskakiwania na grunt ruchomy i że znajdą się osoby, jak np. kobiety i dzieci, w których takie wsiadanie wzbudzać będzie zawsze pewną obawę. Tej najprędzej pozbyć się można, trzymając się słupków, służących za oparcie przy wsiadaniu, ponieważ przez to zyskuje się na pewności stąpania.

Wystawa ma być podzieloną na 18 grup, z których każda dzieli się na pewną liczbę klas. Esplanada Inwalidów przeznaczoną jest głównie dla sztuk wyzwolonych, na Polu zaś Marsowem zgromadzone zostaną wytwory przemysłu, jak:

maszyny, rozmaite zastosowania elektryczności, przedziałnie, przyrządy inżynierskie i t. p. Przy wystawie maszyn wprowadzoną zostanie nader zajmująca nowość. Oto maszyna każda, w danych godzinach, nietylko w ruch puszczoneą będzie, lecz nadto produkować ma przedmiot, do produkowania którego służy.

Część wystawy maszyn znajdzie się daleko po za obrębem Placu Marsowego, bo aż w Vincennes, gdzie zgromadzone zostaną okazy, dla łatwej palności przedstawiające pewne niebezpieczeństwo.

Stało się uświęconym zwyczajem na wszystkich wystawach, aby wśród najnowszych odkryć i wynalazków przyszłości, odbudowywać zabytki historycznej przeszłości. Oglądano więc już: Bastylę, Tour de Nesle, przedwiekowe grody Anvers, Rouen i t. p., na rok zaś 1900—do życia powołane zostaną niektóre z dzielnic starego Paryża. Zrazu projekt ograniczał się tylko do odbudowania dawnego *Pont-au-Change*, obecnie wszakże rozszerzył się znacznie i obejmuje wiele gmachów historycznych i całe dzielnice, znajdujące się w opisach z XVII i XVIII wieku. Administracja wystawy chętnie przyjęła ten projekt i ofiarowała pod budowę „Starego Paryża“ ogromny plac nad Sekwaną, nawprost mostu Alma. Bliskość rzeki, która potrzebną będzie do dopełnienia obrazu, ułatwi przedsięwzięcie. Jest to część wystawy, która w tej chwili najbardziej zajmuje mieszkańców Paryża, żadne roboty nie są tak tłumnie zwiedzane. Stojąc na moście Alma, doskonale obserwować można wznoszone gmachy, jakby zaklęciem czarodziejskim wskrzeszane z przeszłości. Niektóre z nich dziś już są prawie ukończone, jak np. La Tour du Louvre, La Maison aux Pilliers (ratusz), Le Collège de Navarre, La Maison du Coq (dom Teofrasta Renaudot, założyciela prasy francuskiej), dom Molière'a i inne. Przy odbudowywaniu starych zabytków nie dość jest wiernie naśladować gmachy, trzeba im nadać właściwe otoczenie, co nie zawsze jest rzeczą łatwą, ponieważ przy świetle dziennem wszelka dekoracja i przebranie ujawniają się wyraźniej. To, co dotychczas w tym rodzaju widziano, nie zadawało wymagającej krytyki Paryżan; obecni przedsiębiorcy obiecują stworzyć obraz tak skończony, by mu nie do zarzucenia postawić nie było można. Artysta kierujący temi robotami, Robida, budzi powszechne zaufanie.

Pomiędzy wystawami obcych państw, jedną z najbardziej ciekawych będzie niewątpliwie wystawa Holenderska. Przestrzeń 2,500 metrów kw. poświęconą zostaje Indyom niderlandzkim, co pochłonie przeszło pół miliona franków.

Niemcy, które odrazu zadeklarowały przyjęcie udziału w wystawie, czynią niezmiernie gorliwe i kosztowne przygotowania. Chcą przede wszystkim Francuzów zadziwić. Na żadnym polu nie szcedzą zabiegów i pieniędzy. Wprawdzie stosunki Niemiec z Francją, z biegiem czasu, złagodniały, zmieniły się pozornie przy najmniej do niepoznania, a często nawet przyjmują formę towarzyskiej uprzejmości, niewiadomo jednak, o ile serdecznie rodacy Bismarka na gruncie francuskim przyjętymi będą. Od czasu do czasu pojawiają się w pismach tutejszych artykuły, dowodzące niewygasłej ku Niemcom niechęci; a ponieważ w ośmieszaniu Francuz posiada broń wielkiej siły, więc tą zawsze wojuje ochotnie. Ot teraz właśnie znany pisarz Huysman w „Echo de Paris“ opisuje wrażenia swe z niedawnego pobytu w Berlinie. Zapatrywania autora romansu „Là bas“ są niezaprzeczenie stronnie i pod każdym względem niesprawiedliwe, niemniej pisane zajmująco i dowcipnie, liczyznymi znajdują czytelników.

„Nie przypuszczam“ — pisze pomiędzy innymi Huysman, — „aby istniało miasto duże i ludne szkaradniejsze i nudniejsze od Berlina. Ulice wycięte prosto jak pod sznurem, domy nużące jednostajnością, pałace wprost ohydne. Sprea—brudny rynsztok, Brandeburska, owa okrzyczana Brandeburska brama — nieudolne naśladownictwo Propyleów z Aten, sławna ulica „pod Lipami“—nędza, pozowanie śmieszne, zaś ulice:

Fryderyka, Wilhelma, ulica Lipska — nie dorównują nawet w drobnej części ulicom Paryża.

Gdyby choć mieszkańcy tego obrzydliwego miasta mniej obrzydliwymi byli, ale tak wcale nie jest. Po chodnikach pierwszorzędnych ulic spacerują przeważnie oficerowie, zasznurowani w obcisłe mundury, z monoklem wielkości koła od lokomotywy w oku, otoczeni gęstym, gryzącym dymem cygara i znać dla większego szyku ciągną z brzękiem pałasze za sobą.

Damy berlińskie nie odznaczają się wdziękami; po większej części są one nadto korpulentne, wystrojone krzyżąc i prawie wszystkie trzymają usta otwarte. Ogólny typ cywilusa, spotykany na ulicach Berlina, przedstawia się jak następują: niezgrabny, łysy, czerwony, o cienkich nogach a grubej budowie. Brzydota Berlińczyków ma jakiś odrębny wyraz, nazwałbym ją bezwstydną u noszących mundury, poważną u mieszczan, nieludzką u kobiet.

Nie wiem, o ile gazety francuskie czytane są przez Niemców, w każdym razie tego rodzaju złośliwe ośmieszanie wpłynąć nie może dodatnio na pojednawcze usposobienie sąsiadów.

Nietylko złośliwy Huysman dopatruje w Niemcach zaniku piękna, bo oto tak poważny estetyk i krytyk, jak M. Ruskin, cały świat do tego stopnia znajduje zbrzydzone, iż, według niego, jeśli ludzkość dalej na tej drodze pójdzie, to wkrótce piękne widoki staną się dokumentami przeszłości, przechowywanymi tylko w muzeach.

Obawom Ruskina przeczyni jednak ruch w świecie artystycznym, czego dowodem jest niebywała dotychczas liczba dostarczonych na doroczną wystawę w Salon (dawna Halle de Machines) obrazów, których liczba doszła do 5334, nie rachując odrzuconych, które według miejscowego dowcipnego wyrażenia, złożone zostały do „cimetière“.

Rada municypalna także, wbrew obawom Ruskina, niemało troszczy się o estetyczną stronę stolicy. Co rok wyznacza 6 nagród za najpiękniejsze fasady z nowo-przybywających domów. Nagrody te stanowią: dla budowniczego medal złoty, dla przedsiębiorcy—brązowy, dla właściciela domu — zmniejszenie do połowy podatku brukowego przez lat 5.

Zanim wystawa sztuk pięknych w Salon zostanie otwartą, inne bywają zamykane. Jedną z najwybitniejszych była wystawa artystów-amatorów w Salonie Petit'a przy ulicy de Sèze. Najbardziej zwracały tu uwagę portrety: hrabiego Brisac i signora Mirabello, malowane przez Andrzeja Mniszka, oraz biust marmurowy wice-hrabiny Molitor, wykonany przez nią samą.

W teatrach nowości nie bardzo się w tym roku powiodła. Théâtre Nouveau wystawił ze średnim powodzeniem sztukę 4-aktową Henryka Kistemaekers „Marta.“ W Théâtre Antoine stale grywają sztukę Franciszka de Curel, którego krytyka paryzka uznała za jeden z najwybitniejszych talentów doby ostatniej. Dramat „La Nouvelle Idole,“ aczkolwiek obracający się około tematu przykre sprawiającego wrażenie, odbiega od szablonu i samą już oryginalnością stoi ponad wszystkimi sztukami tego sezonu. Bohaterem jest doktor medycyny, *la nouvelle idole*, jest to zagadnienie w medycynie, któremu poświęca szczęście własne, oraz szczęście i istnienie młodej dziewczyny, która się dla tego zagadnienia poświęca. Henryk Lavedan, niedawno przyjęty do rzędu „nieśmiertelnych,“ oburzył swych nowych kolegów wystawieniem w teatrze Varietés komedii „Le vieux Marcheur.“ Do jakiego stopnia akademicy są oburzeni tem odstępstwem Lavedan'a, dowodzi przytaczana odpowiedź księcia de Broglie, który na przedstawieniu wybornej sztuki „Le Berceau“ w Komedyi francuskiej na zapytanie: dla czego autor nie czyni starań o hotel Akademika, odrzekł z ironią: „l'Académie n'e u voudra pas... il n'y a pas de saletés dans ses pièces.“

Opera wytrwale przyzwyczajają Paryżan do słuchania Wagnera, powtarzając niezliczone razy Tanhäusera.

Wielkie, okrzyczane oratorium Perosi'ego „Zmartwychwstanie Chrystusa,“ które wszędzie poza granicami Włoch zawiodło oczekiwania

rozciekawionego głośną reklamą audytorium i tutaj także, wystawione w Cirque d'Été, przyjęte było bardzo chłodno. Koncerty, inaczej „Auditions de St. Bemberg,“ zwane jeszcze „Concerts spirituels,“ odbywające się także w cyrku, nierównie większem cieszą się powodzeniem.

Francuzi, mimo, że zmuszają się czasem do wysłuchania poważniejszej muzyki, ogólnie biorąc, nie są ani muzykalnymi, ani wykształconymi w tym kierunku. Często spotyka się takich, których, wprowadzone obecnie do wielu restauracji, chóry cygańskie, więcej bawią, aniżeli prawdziwie dobra muzyka.

Niezadługo już wiosna przyniesie właściwe jej porze rozrywki — i, aczkolwiek powtarzają się one każdego roku w niezmiennym prawie porządku, zawsze jednak z upragnieniem bywają wyczekiwane i witane z jednaka ochotą. Wyścigi zwykle rozpoczynają się w Colombes i są już tam naznaczone. Warto będzie przesłać redakcyi „Bluszczu“ sprawozdanie z widzianych na wyścigach nowości mody wiosennej. Wyścigi jeszcze bardziej, aniżeli bal świetny, dostarczają modniarkom wielką moc najróżnorodniejszych wzorów, zaczawszy od kapeluszy, a skończywszy na wykwinnych spódniczkach.

Przed paroma tygodniami, w poprzednim liście moim, zanotowałem kilka nowych utworów, wyszłych z pod pióra poczytniejszych pisarzy. Dziś dodam do nich: „La terre qui meurt,“ rzecz napisaną przez Reného Bazin i bardzo przez krytykę chwaloną, „Dorine“ przez Andrzeję Theriet (30 udatnych powiastek), oraz wydawaną przez Tissot'a zajmującą książkę „Versailles et deux Triansons.“

Na zakończenie słów jeszcze kilka poświęcę „kronice działalności kobiecej.“ Panna Lucya Faure, córka zmarłego prezydenta, osoba niezmiernie czynna i szczerobliwa na polu dobroczynności publicznej, jest założycielką i przewodniczącą stowarzyszenia „La Ligue fraternelle des enfans de France.“ Dotychczas zarząd owego stowarzyszenia mieścił się w pałacu Elizejskim, skoro jednak po śmierci prezydenta rodzina jego musiała usunąć się z pałacu, panna Faure własnym kosztem przeniosła i urządziła całą administrację stowarzyszenia przy ulicy Thénard, na wprost Collège de France. Żądaniem stowarzyszenia jest dostarczanie opieki i zajęcia bezdomnym dzieciom; zbytecznym jest chyba dodawać, jak wielkiej doniosłości jest cel podobny.

Es.

## TOWARZYSTWO OPIEKI

nad ubogimi matkami oraz ich dziećmi.

### Sprawozdanie za r. 1898.

I. Przychód. Składki członków za lata ubiegłe 230 rb., składki członków za r. 1898 r. 2561 rb., składki członków na lata przyszłe 40 rb., udział matek w utrzymaniu ich dzieci 1251 rb. 75 kop., dochód z balu kostiumowego 5225 rb., dochód z wenty i loteryi (w tej cyfrze 100 rb. od ks. Stanisł. Lubomirskiego) 1137 rb. 88 kop., dochód z kwesty Wielkanocnej 1898 r. 117 rb. 18 kop. Ofiary i legaty: od p. J. Habielskiego 100 rb., od Warsz. Towarzystwa Pożyczkowego 100

rb., od hr. Aleksandrowej Branickiej 500 rb., od p. Maryi Jakubowskiej 50 rb., od hr. Anny z hr. Branickich Tarnowskiej 100 rb., od p. Jadwigi Mańkowskiej 100 rb., drobniejsze ofiary 131 rb., legat ś. p. E. Czabana, wypłacony przez p. Julię Wieman 15,000 rb., procenty i różne dochody 257 rb. 20 kop., zwrotne sumy 111 rb. 85 kop., ogólna cyfra dochodu 27,012 rb. 86 kop.

II. Rozchód: A. Wydatki na zakład i na administrację: 1. żywność 3,247 rb. 50 kop., 2. opał 539 rb. 86 kop., 3. światło 408 rb. 88½ kop., 4. pranie 138 rb. 50½ k., 5. pomoc lekarska (apteka, środki opatrunkowe) 203 rb. 9 k., 6. stan cywilny i pomoc duchowna (metryczki, kosztą pogrzebowe, wydatki pocztowe) 161 rb. 93 k., 7. pensye 2,275 rb. 27 k., 8. reparaacje domu 443 rb. 62 k., 9. zakup przedmiotów objętych inwentarzem 130 rb. 65 k., 10. zakup drobnych przedmiotów 83 rb. 23 k., 11. Wydatki prawne i ciężary: procenty Towarz. Kredyt. m. Warszawy 813 rb. 48½ k., opłata za ubezpieczenie, wodę i kanalizację 135 rb. 51 k., inne wydatki 13 rb., 12. drobne nieprzewidziane wydatki 296 rb. 24½ k., 13. ubranie, pościel i bielizna 347 rb. 50 k. Ogólna cyfra wydatków na zakład i administrację 9,238 rb. 28 kop.

B. Wydatki na opiekę zewnętrzną: 1. Wydatki na utrzymanie na wsi dzieci, pozostających na opiece Towarzystwa 6,115 rb. 74 k. 2. Zapomogi wydawane matkom karmiącym swe dzieci 357 rb. 10 kop. 3. Jednorazowe datki 32 rb. 4. Różne wydatki (koszta przesyłki pieniędzy i t. d.) 92 rb. 49 kop. Ogólna cyfra wydatków na opiekę zewnętrzną 6597 rb. 33 k.

Suma wszystkich wydatków zwyczajnych: 9,238 rb. 28 k. + 6,597 rb. 33 k. = 15 835 r. 61 k. Z sumy 15,000 rb. legatu ś. p. E. Czabana, spleacony został dług 9,000 rb., obciążający posesyę Towarzystwa przy ulicy Wspólnej położoną, 2,200 rb. zaś złożone zostały w depozyt w Banku dyskontowym.

Dla ostatecznego uregulowania należności za skanalizowanie posesyi Towarzystwa przy ulicy Hożej, Towarzystwo zaciągnęło dodatkową pożyczkę w Towarz. Kredyt. m. Warszawy w sumie 1,000 rb. nominalnie. Ogólny koszt robót kanalizacyjnych wraz z wydatkami na wyjednanie pożyczki wyniósł 2,604 rb. 22 k. Na konto tej sumy wydano w r. 1897 — 1,018 rb. 76 k., resztę zaś wypłacono w r. 1898, a mianowicie: 1,016 rb. 62 k. z nowej pożyczki, 568 r. 84 k. zaś z legatu ś. p. Czabana.

III. Zakład położniczy funkcyonował w roku 1898 przez 301 dni.

Ruch zakładu w r. 1898 był następujący:

Matki: Z roku 1897 pozostało na 1 Stycznia 1898 r. matek 18, w ciągu r. 1898 zostało przyjętych 350 — razem 368; z tych umarła w zakładzie 1, wyszło z zakładu 346 — razem 347, czyli pozostało na 31 Grudnia 1898 r. w zakładzie matek 21.

Dzieci pozostawało w zakładzie z r. 1897 na 1 Stycznia 1898 r. 13, liczba dzieci (żywych) urodzonych w zakładzie w ciągu 1898 r. 337 — razem 355 (dzieci nieżywych urodziło się 17). Umarło w zakładzie dzieci 12, oddano na wychowanie na wieś dzieci urodzonych w zakładzie 84, matki zabrały dzieci przy naznaczonej zapomodze 13, matki zabrały dzieci bez zapomogi 225 — razem 334, czyli pozostało na 31 Grudnia 1898 r. w zakładzie dzieci 21.

IV. Opieka zewnętrzna. Na opiece zewnętrznej (bądź na wsi, bądź u matek, otrzymujących zapomogi) znajdowało się na 1 Stycznia 1898 r. dzieci 213, oddano na wieś dzieci nieurodzonych w zakładzie 1 — razem 298, umarło dzieci pozostających na opiece na wsi 12, umarło dzieci karmionych przez własne matki 1, czyli umarło w ogóle dzieci na opiece znajdujących się 13 (t. j. 4,3%), zwrócono matkom lub oddano na własność dzieci 94 (t. j. 31,5%) — razem 107, czyli pozostaje na 31 Grudnia 1898 r. na opiece Towarzystwa dzieci 191.

Srednia liczba dzieci pozostających na opiece wynosiła 245, ogólna zaś liczba dni opieki 89,425.

V. Liczba członków Towarzystwa na 1 Stycznia 1899 r. wynosiła 382, a mianowicie: członków założycieli 13, członków rzeczywistych 26, członków zwyczajnych 343. Od 1 Stycznia 1898 r. ogólna liczba członków wzrosła o 26.

VI. Skład osobisty zarządu Towarzystwa. Na czele zarządu Towarzystwa stoi rada opiekuńcza, złożona z 20 członków, z prezydującą p. Julią hr. Branicką, wice-prezydującą p. Julią Górską i z wice-prezydującym p. Aleksandrem Moldenhawerem. Bezpośrednim kierownikiem spraw Towarzystwa jest według ustawy komitet gospodarczy w następującym składzie: prezes komitetu Wiktor hr. Sołtan, członkowie: p. Marya Kozakowska, p. Marya Wrotnowska, p. Wiktoria Szadkowska i dr. Władysław Tyrchowski. Na miejsce p. Szadkowskiej, która w Listopadzie 1898 r. ustąpiła ze stanowiska członka komitetu, wybraną została jako tymczasowa zastępczyni Amelia hr. Sołtanowa.

Na skutek ustąpienia długoletniej przewodniczącej pań protektorek, Heleny hr. Krasińskiej, zaproszoną została na jej miejsce przez komitet p. Julia Wiemanowa.

Prezes Komitetu Gospodarczego  
W. Sołtan.

## Omyłki druku.

W Numerze „Bluszczu“ 14, w poezji p. t. „We mnie jest moc“ w szpalcie 2 na str. 105, w wierszu 10 od dołu, zamiast *się* ma być: *cie*, a na str. 106, w szpalcie 2, w wierszu 7 od góry, zamiast: *zrywaj* ma być: *rozważ*.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: ark. 12-ty powieści, p. t. *Adolf Ribbing*, przez M. E. Coleridge. Przekład z angielskiego Z. S. Tom II-gi.

Wyszła z druku książka:

# ORCHIDEE

## ZBIÓR NOWEL

przez

Marcellego Strzemieńczyka

Cena egzemplarza kop. 90, pocztą rub. 1.

Skład główny w Księgarni

GEBETHERA i WOLFFA  
Krakowskie-Przedmieście,  
róg ulicy Czystej; — do nabycia w Administracyi „Bluszczu“ i we wszystkich Księgarniach.

**Treść:** Piotr Chmielowski. Nasza krytyka literacka w wieku XIX-ym. V. — Przy kominku (Pogawędka), przez ?? — Sursum Corda, przez Helię. — Barwinek, przez Szczęsną. — Kazimierz Gliński. Krzywda. Powieść (dalszy ciąg). — Najnowsze poezye, przez Szczęsną (dokończenie). — Z Paryża, przez Es. — Sprawozdanie za r. 1898 Tow. Op. nad ubogimi matkami.

**Dodatek obejmuje:** *Adolf Ribbing*, powieść, przez M. E. Coleridge. Przekład z angielskiego Z. S. arkusz 12-ty. Tom II-gi. — Przegląd mód. 27 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya obiadu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow.-Przedmieście № 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 31 Марта 1899 г.



**Kostium do gry w lawn-tennis, dla młodej pani.**

Rycina Nr 1.

Zręczny ten kostium z białej flaneli w niebieską kratę, składa się z gładkiej, krótkiej spódniczki i z bluzkowego staniczka, przyszytego do karczka z białej, gładkiej flaneli, ułożonej w poprzeczne zakładki. Karczek z przodu przeciąga się aż do stanu. Przody zakończają dwie wysokie patki z białej flaneli, na których naszyte są metalowe guziki. Prócz tych patek, przez stanik, z przodu i z tyłu, przeciągnięte są szelki z białej flaneli, gęsto przestębnowane. Szelki te z przodu schodzą poniżej skórzanego paska, na plecach chowają się pod nim. Przybranie rękawów przy ramionach, stanowi jakby przedłużenie karczka, przy rękę naszyte są także patki, jak przy przodach. Płócienny kołnierzyk, podwiązany kolorową krawatką, oraz jasny kapelusik, dopełniają całości.

**Suknia, przybrana sutaszem.**

Rycina Nr 2.

Lekkie sukienko w ciemno-ponsowym kolorze, przybrane bogatym wyszyciem z ponsowego sutaszu i aplikacją z materiału, strojną, wiosenną tworzy tualetę. Aplikacja i wyszycie ciągnie się przez przód wąskiej na biodrach spódnicy, w górze falbany i wokoło tejże. Stanik, w kształcie epoletów schodzący na ramiona, prawie cały pokryty jest aplikacją i sutaszem. Wązko, powyżej stanu, otwarte przody, podłożone są kamizelką z upliśowanej gazy i haftu. Rękawy, od ramion do ręki, ułożone w poprzeczne fałdy, przy rękę przybiera sutasz i aplikacja. Pasek z materiału sukni pokrywa także wyszycie.

**Strojne wiosenne ubranie formą princesse.**

Rycina Nr 3.

Bardzo strojne ubranie przedstawia suknią formą princesse z jedwabnej materii w kolorze niebiesko-szarym i z gazy jedwabnej w tymże kolorze, przybraną aplikacją z materii białej. Brzegi aplikacji oszyte są stalowymi pailletkami. Suknia z materii dochodzi tylko do wysokości boków i dopełnioną jest głębokim karczkiem z gazy marszczoną w bufki. Lewy bok sukni rozchodzi się na podłożeniu, wykonanem w ten sam sposób, jak i karczek. Suknia, przy brzegach tegoż otwartego brzegu, oraz w górze przy karczku, naszyta jest bogatą aplikacją. Rękaw od góry do łokcia w bufki, następnie z materii, przybiera także aplikacja. Okrągły kapelusik ze słomy, w odpowiednim do sukni kolorze, jako całe ubranie ma sutą bardzo kokardę z rypsowej wstążki.

**Wiosenny paltocik, przybrany pletnią, dla dziewczynki od 12—13 lat**

Rycina Nr 6. (Krój odwr. str. tabl. Nr XIV, fig. 102—110)

Elegancki ten paltocik dla dziewczynki, bardzo strojnie przybrany jest wyszyciem z białej pletni, okolonej po obu stronach czarnym sutaszem. Paltocik zapina się kryto. Koniecznie wykończony musi być na podszewce, ponieważ ścięgi od wyszycia zawsze szpecą lewą stronę. Na kaftanik użytem jest sukno w ciemno-ponsowym kolorze.

**Luźny kaftanik z kołnierzem marynarskim, dla dziewczynki od 10—11 lat.**

Rycina Nr 7. (Krój odwr. str. tabl. Nr XIII, fig. 97—101).

Zupełnie prosty, puszcany kaftanik z szewiotu niebieskiego, przybrany jest dużym kołnierzem marynarskim z białego szewiotu, zakończonym szeroką, czarną, atlasową plisną, którą pokrywa biała, piękna gipiura. Kołnierz przykrywa kołnierz wykładany i wyłogi z szafirowego szewiotu, przyszyte do kaftanika. Brzeg kaftanika, patki przy kieszeniach, oraz rękawy przy rękę, naszyte są trzy razy czarnym sutaszem. Czarna, atlasowa krawatka, związana na węzeł jedną stroną, przymocowana jest do przodu kaftanika, z drugiej zaś przyszyta ma hafteczkę, którą łatwo zapiąć na pętelkę, ukrytą przy przodzie drugim.

**Kapelusze słomkowe, dla dziewczynek od 2—7 lat.**

Rycina Nr 8—10.

Zawsze ładną i stosowną formą kapelusza dla dziewczynek 3-ich lub 4-ro-letnich, jest kapeluszek z leciutkiej, słomianej pletni, w formie dużej kapotki. Najpraktyczniejszym, bo najtrwalszym ubraniem jest atlasowa wstążka, średniej szerokości, ułożona z przodu w dużą kokardę. Można też pod rondkiem, podszytem muślinem lub gazą, umieścić rozetę z takiejże wstążki. Końce do wiązania powinny dopełniać skromnego tego przybrania.

Następny kapeluszek, w formie grzybka, stosownym jest dla dziewczynek jeszcze młodszych, najodpowiedniejszym jego przybraniem jest riu-sza strzępiona z materii lub fularu.

Kapeluszek Nr 10, noszony bywa przez dziewczynki, od 6-ciu do 8-miu lat mające. Znacznie szersze z jednej strony, podniesione rondo, przytrzymuje duży pompadour, brzeg kapelusika oszyty jest jedwabnymi pliskami, główkę gładko opasuje wstążka w odpowiednim kolorze.

**Sukienka dla dziewczynki od 11—12 lat.**

Rycina Nr 11. (Krój odwrotna strona tablicy Nr XII, fig. 81—96).

Sukienka z wełnianego materiału czerwonego w białe paski, składa się z gładkiej spódniczki

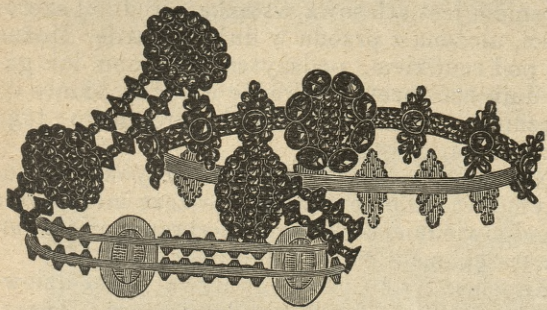


Nr 1 Kostium do gry w lawn-tennis, dla młodej pani.

Nr 2. Suknia, przybrana sutaszem.

Nr 3. Strojna wiosenna tualeta formą princesse (stosowna na wizyty).

i bluzki otwartej na staniczku, którego przód założony jest drobnymi zakładkami z białej materyi. Bluzka, przybrana jest potrójnym, wykładanym kołnierzykiem, naszytym przy brzegu karbowaną, gazową wstążeczką. Kołnierz dochodzi aż do stanu, na plecach zaś jest przecięty. W miarę obcisłe rękawy zakończą mankiety. Pasek z fałdowanej, jedwabnej

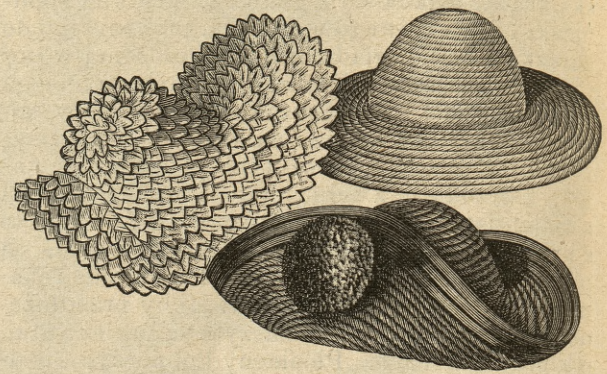


Nr 4 i 5. Nowe paski elastyczne z dzetu i perełkowej pasmanterii.



Nr 6. Wiosenny paltocik, przybrany pletnią, dla dziewczynki od 12—13 lat. (Kr. i desen odwr. str. tabl. Nr XIV, fig. 102—110).

Nr 8. Kaftanik z marynarskim kołnierzem, dla dziewczynki od 10—11 lat. (Krój odwr. str. tabl. Nr XIII, fig. 97—101).



Nr 8—10. Kapelusze słomkowe dla dziewczynek od 2—7 lat.

materyi stanowi dopełnienie zręcznego ubrania.

### Kostium z paltocikiem dla panienki od 15—16 lat.

Rycina Nr 13. (Plecy i krój odwr. str. tabl. Nr X, fig. 74—79).

Szewiotowy, granatowy kostium, ślicznie przybiera czarna taśma, obwiedziona białym sutaszem. Przody krótkiego, wykończonego na jedwabnej podszewce paltocika, naszyte są trzy razy, poniżej stanu taśma krzyżuje się i skośnie przeciąga na plecach (patrz ryc. odwr. str. tablicy). W podobny sposób naszyte są rękawy i spódniczka w połowie wysokości. Paltocik, opatrzony szalowym



Nr 13. Kostium z paltocikiem dla panienki od 15—16 lat. (Plecy i krój odwr. strona tablicy Nr X, fig. 74—79).



Nr 11. Sukienka dla dziewczynki od 11—12 lat. (Krój odwrotna strona tablicy Nr XII, fig. 84—96).

Nr 12. Ubranie z bluzką i kurtką dla chłopca od 8—9 lat. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr I', fig. 20—30).



Nr 14. Okrycie dla dziecka od 2—3 lat. (Krój pierwsza strona tablicy Nr V, fig. 31—34).

niewielkim kołnierzem, otwiera się na jasnej bluzce. Kołnierzyk też podwiązany jest krawatką z długimi końcami.

### Okrycie dla dziecka od 2—3 lat.

Rycina Nr 14. (Krój pierw. str. tabl. Nr V, fig. 31—34).

Białe, szewiotowe, zręczne to okrycie, ułożone z przodu i z tyłu w dwie głębokie kontrafałdy, zapięte z boku na duże perłowe guziki, przybrane jest z tegoż boku fałbaneczką plisowaną z taffetas. Niezbyt szerokie rękawy, ułożone przy rękę w zastępowane fałdki, zapinają się na 2 drobne perłowe guziczki, odpowiednie do przyszytych z boku. W stanie spina okrycie biały, skórzany pasek. Paltocik ten może być również dobrze wykończony na lżejszej, jak i na ciepłej, flanelowej podszewce.

### Płaszczyk dla chłopca od 5—6 lat.

Rycina Nr 15. (Krój pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 35—40). Plecy odwrotna strona tabl.

Praktyczny płaszczyk z ciepłego, wełnianego materiału, dopełnia długą peleryną, którą względnie do gru-

bości materiału wykończyć można na podszewce, lub bez tejże. Plecy, jak wskazuje podany rysunek na odwrotnej stronie tablicy, spina patka o 2-ch guzikach. Peleryna przypina się pod wykładanym, dosyć dużym kołnierzykiem. Brzeg peleryny, kołnierza, oraz paltocik, wokół wykończone są stebnówką.

Kieszonki na przodach, także są parę razy przestebnowane. Paltocik ten również dobrze wykonywać można na pół-jedwabnej, lekkiej podszewce, jako też i na flaneli.

### Strojny wiosenny kapelusz.

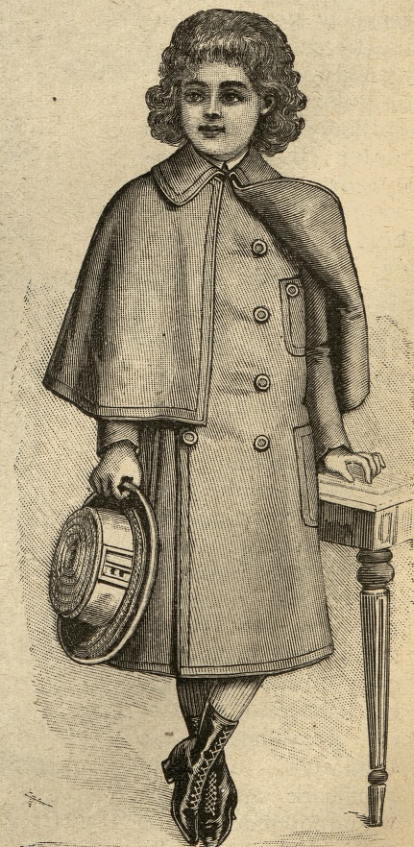
Rycina Nr 16.

Mały, zręczny kapelusik w rodzaju toczka, rondko ma przykryte aksamitem czarnym, naszytym pailletkami i paciorkami. Rondko widoczne jest tylko z prawego boku. Główkę i bok lewy pokrywa lekka draperya z białej, jedwabnej gazy. Upięcie to spina w pośrodku duża fantazyjna klamra. Po obu stronach przypięte są egrety z rajskich piór, jedna biała, druga czarna.

### Wiosenne albo podróżne ubranie, dla młodej osoby.

Rycina Nr 17.

Na gustowną tę tualietę składają się: materyał piaskowy diagonal, aksamit w ciemniejszym odcieniu i takiż sutasz. Naszyte z sutaszu, pokrywające większą część spódnicy, wznosi się w ząb z lewego boku. W podobny sposób naszyte są rękawy i cały paltocikowy stanik. Stanik ten, opa-



Nr 15. Płaszczyk dla chłopca od 5—6 lat. (Krój pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 35—40). Plecy odwr. str. tabl.

trzony zębato wykrajanymi wyłogami, otwiera się na kamizelce z aksamitu. Na wysoki, stojący kołnierz, wyłożony jest mały kołnierz płócienny.

### Płaszcz podróżny, oraz kapelusz.

Rycina Nr 18.

Z przodu luźny, z tyłu zupełnie wcięty, płaszcz z szaro-zielonego sukna, zakończony jest u dołu okrągłą krajaną falbaną. Szeroki, leżący kołnierz, brzeg przy zapięciu, góra i dół falbany, oraz rękawy przy ręku, oszyte są pliską z sukna w znacznie ciemniejszym odcieniu. Prócz tego, po nad falbaną stebnowka grubym jedwabiem tworzy ładny deseń. Okrągły, tak zwany tyrolski kapelusz, przybrany jest jasną materią, ciemnymi piórkami i srebrną klamrą.

### Haftowana serwetka na meble.

Rycina Nr 22 i 24. (Deseń pierwsza str. tabl. fig. 50 i 51).

Wskazana tu serwetka, mająca 66 ct. w kwadrat, z białego jedwabnego atlasu, lub angielskiej białej satyny, zakończona 5 ctm. szerokim obrębem, ozdobiona jest łatwym a bardzo efektywnym haftem, wyszytym jedwabiami filofloss. Deseń należy starannie przenieść podług fig. 50 i 51 na kalkę, następnie tę do materiału przyfastrygować. Najpierw obwodzi się kontury deseni długim, mijanym ścięciem, w kolorach dowolnych, a zawsze najlepiej w odpowiednich do umeblowania, poczem wycina się kalkę i wypełnia figury deseni ścięciem płaskim, punkcikami i różeczkami.



Nr 16. Strojny kapelusz wiosenny.

### Haftowana sukienka dla dziecka do 2-cho lat.

Rycina Nr 25 (do ryc. Nr 19, 20, 21 i 23). Krój odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 80-83.

Sliczną jest ta sukienka z lekkiego, przezroczystego, wełnianego materiału, podłożonego różową podszeawką. Sukienka ta luźno puszczone, zarzuconą jest haftowanymi gałazkami, wyszytymi różowym jedwabiem do prania. Takie same gałazki haftowane są na karczku, który nadto, oszyty jest falbaną ze szlaku, haftowanego również różowym jedwabiem. Zamiast krótkich bufek, sukienka może być dopełniona długimi rękawkami, zakończonymi haftowanym szlaczkiem.

### Suknia wiosenna, przybrana frendzlą.

Rycina Nr 26 (Kr. pierw. strona tablicy Nr VII, fig. 41-49).

Oryginalne i bardzo ładne to ubranie składa się z gładkiej spódnicy, ułożonej z tyłu w ukryte fałdy i z bluzkowego stanika, lekko w stanie przymarszczonego. Przymarszczone przodki, przybrane niewielkimi wyłogami, zastępującymi kołnierz, otwierają się na gładkiej kamizelce, przy zapięciu wyciętej w zęby i przybranej aplikacją z koronki grubej, brzeg zębów osyty jest wązkim pasmanteryjnym szlaczkiem. Stojący kołnierz przybranie ma odpowied-

nie do kamizelki, tak samo i rękawy przy ręku. Zakończenie wykładanego kołnierza stanowi sznelowa frendzla, a prócz tej wążka przy brzegu tasiemeczka i szlaczek. Wążki, aksamitny pasek spina srebrną klamrą.

### Okrywka wiosenna w formie chusteczki, oraz kapelusz.

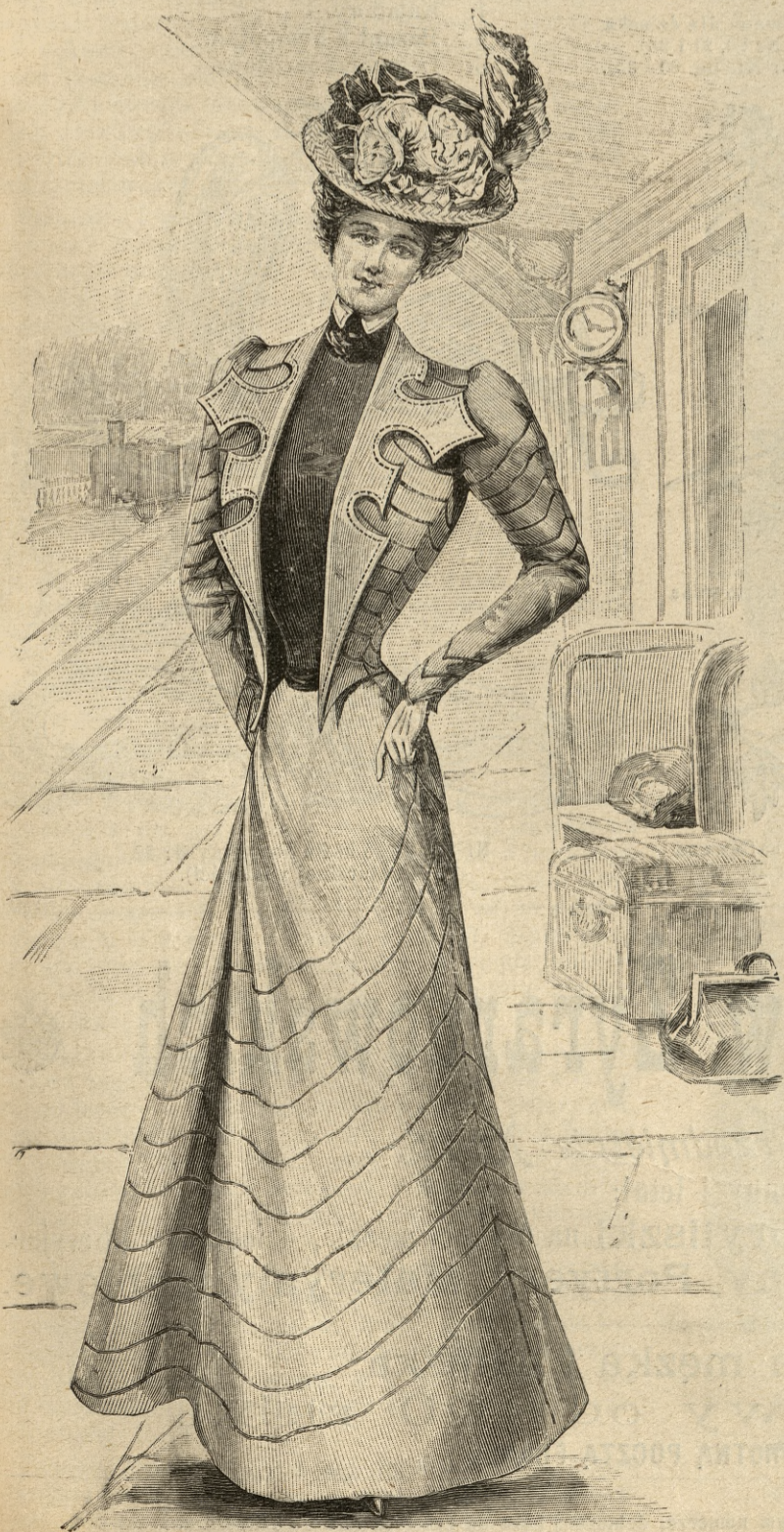
Rycina Nr 27.

Prawdziwą nowością jest okrywka w formie chusteczki z szarego, czarnego, albo białego crêpe de Chine'u. Ściągnięta do przodu i zręcznie udrapowana, oszyta jest marszczoną falbanką, dzierganą jedwabiem. Zapięcie z przodu przykrywa duża atlasowa kokarda, długie końce, spadające od zapięcia, oszyte są też falbanką. Na chusteczkę taką użytymi być mogą dawne crêpe de Chine'owe szale. W takim razie zamiast falbany użyć można frendzli, która obecnie bardzo jest w modzie i zwykle zakończyła owe dawne szale. Kapelusz słomkowy w kolorze heliotrop, rondo podpięte ma z tyłu pękiem jasnych anemonów, Główkę opasuje lekko atlasowa lila wstążka, upięta ku tyłowi w dużą kokardę. Pęk strusich piór do cieniu, przypięty z boku, dopełnia przybrania.

## PRZEPISY GOSPODARSKIE.

### ESENCYA PONCZOWA.

Do kwarty araku wycisnąć przez muslin sok z 14-tu cytryn. Zrobić syrop z 2-cho funtów cukru, nalanego pół kwartą wody, gdy syrop przestygnie wlewać powoli arak, mieszając ciągle. Następnie tak przyrządzoną esencję przefiltrować.



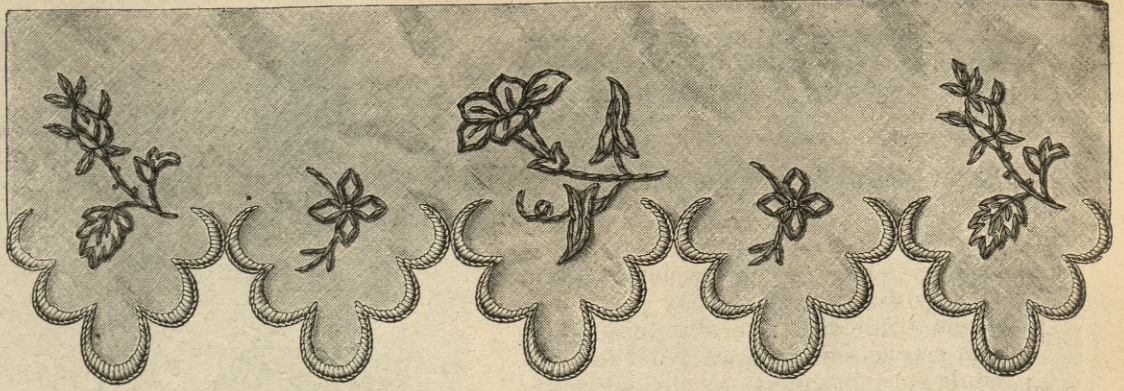
Nr 17. Wiosenne, albo podróżne ubranie, dla młodej osoby.



Nr 18. Płaszcz podróżny, oraz kapelusz.



Nr 22. Serwetka na meble, ozdobiona haftem jedwabiami.  
(do ryc. Nr 24) Deseń pierw. str. tabl. fig. 50 i 51.



Nr 19. Haftowany szlaczek do ryc. Nr 25.

wać przez bibułę do czystych suchych butelek, zakorkować i zachować do użytku.

#### ZUPA HOLLANDZKA.

Pół garnca kartofli nalać poprzednio ugotowanym rosolem lub wodą, ugotować do miękkości, przetrzeć przez sito i postawić na ogniu, aby się przezasowała zupa zagotowała. Do wazy włożyć 3 rozbite żółtka, łyżkę masła, kwarterkę śmietany i trochę zielonej, siekanej pietruszki, zupę wrzącą z ognia powoli wlewać, ciągle mieszając. W końcu dosolić i opieprzyć do smaku, podając do tej zupy grzanki smażone w maśle.

#### Obiad na Niedzielę.

1. Rosół z francuskimi kluskami.
2. Paszteciki w muszlach.
2. Rosboeuf po angielsku.
4. Kalafior.
5. Bażant z kompotem.
6. Legumina mrożona.



Nr 25. Sukienka haftowana dla dziecka do 2-eh lat (do ryc. Nr 20, 21 i 23).  
(Krój odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 80-33).



Nr 26. Suknia wiosenna, przybrana frendzlą. Nr 27. Wiosenna okrywka, oraz kapelusze.



Nr 20. Gałązka haftowana do ryc. Nr 25.



Nr 21. Gałązka haftowana do ryc. Nr 25.



Nr 23. Gałązka haftowana do ryc. Nr 25.



Nr 24. Część haftu do ryciny Nr 22.  
( $\frac{2}{3}$  naturalnej wielkości).

# Główny Skład Zakładów Żyrardowskich

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście Nr 55,  
otrzymał na sezon wiosenny i letni:

Plócienka, Satynki, Batysty, Dryliszki na ubrania męskie, dziecinne i liberyjne,  
Zefiry, Kretony, Firanki, Dywany, Portyery, Materyały meblowe.

Gotowa bielizna męska i damska.

Gotowe wyprawy od 100 rubli.

PRÓBY I CENNIKI ODWROTNA POCZTA FRANCO.

Pończochy  
i  
skarpetki  
czarne  
i fantazyjne.

UWAGA. Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze, dołączoną była do zeszłego numeru „Bluszezu.”